WTOREK Nr 67/68 85-06-04 Cena 8 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW



Płynnie, jak ptaki unosimy się w koszu podnośnika montażowego z koszalińskiego „Bumaru". Wysokość: siedem metrów, dziesięć, piętnaście, osiemnaście – stop! Teraz pierwsze zdjęcie - wiotkich żółtych maszyn...

Tak wysoko zaczęła się nasza wędrówka po wystawie Wrocław '85. Przeczytajcie, obejrzyjcie na str. 5.

CO SIĘ KUBIE PODOBAŁO...

Fot. Jan Stykowski

W belwederskich komnatach

Zuchy i harcerze gośćmi przewodniczącego Rady Państwa

Dorocznym zwyczajem, w przeddzień Międzynarodowego Dnia Dziecka, przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński podejmował w Belwederze grupę zuchów z Mistrzowskich Drużyn Zuchowych, harcerzy biorących udział we współzawodnictwie Moskwa '85, w XVI Turnieju Wiedzy Obywatelskiej oraz Konkursie Harcerze Współgospodarzami Osiedla i HSI. Wśród zaproszonych byli również wyróżniający się członkowie szkolnych kół TPD, PCK I LOP.

Oprócz wizyty w Belwederze w programie dwudniowego spotkania w Warszawie znalazło się zwiedzanie stolicy, projekcje filmów w kinie „Oka" i oczywiście harcerski kominek.

Szczegółową relację na ten temat zamieścimy niebawem.

TU LIGA REPORTERÓW ● TU LIGA



Witam!

Czy znasz nowy temat LR?

Przypominam, że poświęcony jest ludziom dobrej roboty, fachowcom o złotych rękach.

Rozejrzyj się po swojej okolicy i przedstaw takiego człowieka, którego znasz osobiście, a jego pracę cenisz i podziwiasz, gdyż wykonuje ją bardziej niż dobrze, bo ma:

ZŁOTE RĘCE

Na pewno znasz ● kowala, który z żelaza potrafi wykonać ozdobny przedmiot ● stolarza, który nie tylko buduje nowe solidne sprzęty, ale i naprawia stare zabytkowe meble ● cieślę, który stawia piękny dom.

Aby Ci ułatwić zadanie, wymienię przedstawicieli innych zawodów, z którymi się stykasz i ich pracę obserwujesz: ● konstruktor ● mechanik ● zegarmistrz ● hafciarka ● wycinankarka ● rzeźbiarz ludowy

A także ● pszczelarz ● sadownik ● ogrodnik itd.

ZŁOTE RĘCE

To nowe hasło w LR. Zachęcam wszystkich, którzy pragną zostać członkami Ligi Reporterów, aby sięgnęli po długopis i napisali o człowieku, który ma złote ręce. Fotografie mile widziane!

Koperty adresujcie: **Liga Reporterów, redakcja „Świat Młodych", ul. Mokotowska24,00-561 WARSZAWA, z dopiskiem na kopercie ZŁOTE RĘCE.**

Szef Ligi Reporterów

Czy wiecie, że...

Mark Twain przeszedł do historii nie tylko jako znakomity pisarz - był także pierwszym autorem, który dostarczył do wydawnictwa nie rękopis, ale tekst napisany na maszynie...



Uwaga! Miłośnicy morza!

Zapraszamy w dniu 7 czerwca o godzinie 16.30 przed srebrne ekrany (I program TV).

Tematem czerwcowych zajęć Klubu Zdobywców Oceanów i „Latającego Holendra" będzie Polska Marynarka wojenna. Dowiecie się o niebezpiecznych szlakach morskich w latach II wojny światowej, jak również o rozwoju naszych sił morskich w okresie powojennym.

Ze spraw klubowych — informacja o stoiskach i giełdzie „Latającego Holendra" w Łodzi oraz o akcji letniej. (wm)

Plebiscyt rozstrzygnięty

„Fair play" dla Dariusza Zawadzkiego i załogi „Zawiszy Czarnego", wyróżnienie dla Haliny Iwaniec

Organizowany przez Polski Komitet Olimpijski i „Sztandar Młodych" plebiscyt „Fair play - 1984" został rozstrzygnięty. Jego laureatami zostali: sztangista „Zawiszy" Bydgoszcz **Dariusz Zawadzki** oraz **załoga jachtu „Zawisza Czarny"**. Przyznano również wyróżnienie, które otrzymała krakowska koszykarka, **Halina Iwaniec**.

Dariusz Zawadzki wyróżnił się pięknym gestem podczas ubiegłorocznych mistrzostw świata juniorów we Włoszech. Po otrzymaniu brązowego medalu nasz reprezentant dostrzegł, że komputer się pomylił, więc wyjaśnił, że waży więcej (a nie mniej, jak podał komputer) od zawodnika gospodarzy La Carpii. W myśl przepisów, przy jednakowym wyniku osiągniętym przez dwóch ciężarowców; zwycięża sportowiec o lżejszej wadze ciała. Polak z uśmiechem na twarzy zwrócił „brązowy krążek" Włochowi. Jego gest został przyjęty z niezwykłym entuzjazmem widowni.

Załoga „Zawiszy Czarnego", która uczestniczyła w regatach „Żagiel '84", pospieszyła na pomoc (przy sztormowej pogodzie) załodze brytyjskiego jachtu „Marquez". Harcerze, ryzykując własnym życiem uratowali dziewięciu rozbitków.

Halina Iwaniec występowała na parkiecie 18 lat. W roku ubiegłym zakończyła swoją karierę; Jako kapitan narodowej drużyny (i klubowej) zawsze imponowała walecznością i nienaganną postawą. (**zp**)

Z czterech stron świata

WÓDZ W SKÓRZE

(„Poznaj Świat"). U narodowości Mosi, która zamieszkuje północną Ghanę i niemal całą Górną Woltę, zachowała się jeszcze tradycja posłuchu i szacunku dla lokalnych wodzów, sprawujących pewne funkcje administracyjne równolegle z urzędami państwowymi. Na przykład w północno-wschodniej Ghanie, w międzyrzeczu Białej Wolty i Oti, wodzowie ci uroczyście ogłaszają początek pewnych prac rolnych, jak przystąpienie do siewu sorga, wyruszenie stad na sezonowe pastwiska itp. Występują wtedy - rzecz jasna - w specjalnym tradycyjnym stroju. Pokazany na zdjęciu wioskowy wódz przybrany jest w szaty skórzane, podobnie zresztą jak i jego rumak. Mosi są bardzo wprawni w garbowaniu i barwieniu skór, a kolorowe aplikacje świadczą o ich zmyśle estetycznym.

Fot. **archiwum**





Bieg Wiosny w Zadusznikach

BRAWA PO RAZ TRZECI

(Inf.wł.). Ta impreza weszła już chyba na stałe do kalendarza imprez organizowanych przez SKS Zaduszniki (woj. włocławskie). W tym roku odbyła się po raz trzeci, a na jej starcie stanęło aż 426 zawodniczek i zawodników z 15 szkół województwa. Zawody, tradycyjnie zresztą, zostały starannie przygotowane i sprawnie przeprowadzone. Brawa należą się więc nie tylko zwycięzcom, ale też i organizatorom.

A oto triumfatorzy na poszczególnych dystansach: **Katarzyna Pilarska** (Oleszno), **Magdalena Woźniak** (Kowal), **Renata Wiśniewska** (Zaduszniki), **Jarosław Ciechanowski** (Lipno), **Mariusz Poniatowski** (Włocławek) i **Krzysztof Kosłanowski** (Chrostkowo).

Do naszej informacji dołączamy jeszcze fragment sprawozdania z tej imprezy, które zamieściła „Gazeta Kujawska": *„W Zadusznikach propagatorem kultury fizycznej są nie tylko miejscowi nauczyciele, ale i dyrekcje szkół. Mimo że brakuje sali gimnastycznej, boiska sportowego, a i okoliczne tereny trudno nazwać przełajowymi, uczniowie z Zaduszników od lat plasują się w czołówce biegaczy województwa. Zastanawia również fakt, iż to, co można zorganizować na wsi, jest także trudne do urzeczywistnienia we Włocławku"*... (**zp**)

Fot. **M. Darowski**

Uwaga Czytelnicy!

Nie szukajcie nas w czwartek w kioskach! 6 czerwca jest święto i „Świat Młodych" nie ukaże się.

Redakcja

Gdy dziadkowie byli nastolatkami

Lubelskie harcerstwo

Front zbliżał się do Lublina. Stanisław Sielski, któremu niemiecki pracodawca polecił wysadzić przed ewakuacją transformatory, wrócił zdyszany meldując, że ruskie czołgi są już pod miastem. Niemiec uśmiechnął się i postukał w czoło...

Franciszek Rawluk (przybył do Lublina z Kowla, gdzie do 1943 roku walczył w Ruchu Oporu) jechał jak zwykle furmanką w chłopskim ubraniu zbierając informacje o ruchach wojsk. (Miasto otoczone było przez partyzantów ze wszystkich niemal ugrupowań - AL, AK i BCh.) Chciał się jeszcze przedostać do miasta, lecz nie zdążył. Radzieckie czołgi, te same zapewne, które zobaczył Sielski, otaczały już Lublin od północy.

Atak wojsk radzieckich w lipcu 1944 roku był dla Niemców całkowitym zaskoczeniem. Nie mogęc zniszczyć miasta, mordowali bezbronną ludność. Kiedy już po wyzwoleniu Rawluk przedostał się do centrum, zobaczył ocalały zamek. To jednak, co ujrzał na jego głównym dziedzińcu, zapamięta do końca życia - kilkaset zwłok ludzi rozstrzelanych strzałem w głowę. W zamku, na pierwszym piętrze, w sali krawieckiej znowu kilkudziesięciu pomordowanych. Krew. Żeby przejść przez plac nie stąpając po niej, trzeba było na cegłach poukładać deski...

Ofiary masakry pochowano u stóp bramy zamku. Na uroczystym pogrzebie przemawiał generał Berling. A w milczącym tłumie żegnali pomordowanych także harcerze — jeszcze w cywilu, ale już z przypiętymi do ubrania krzyżami. Wkrótce właśnie te krzyże stały się znakiem rozpoznawczym — na ulicy, w wojsku i we władzach Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

BYŁ KONIEC LIPCA 1944 ROKU

Szare Szeregi rozwiązały się samorzutnie natychmiast po wyzwoleniu miasta. Zdezorganizowana łączność uniemożliwiała kontakt byłych działaczy harcerskich. Jakiekolwiek działania utrudniała sytuacja — ścieranie się postaw, poglądów, orientacji społecznych i politycznych. Trwała jeszcze wojna. Do czasu gdy ruszył front na Wiśle, nad miastem przelatywały samoloty i radzieckie, i... niemieckie. Pytania, które padały — czy porządek, jaki jest, będzie już ostateczny, czy harcerstwo będzie - i jakie? - pozostawały jeszcze często bez odpowiedzi.

Polska Lubelska - tak nazwano wówczas pierwszy skrawek wolności — 78 tys. km². Radowali się nim wszyscy, którzy tu żyli, którzy tu z całego kraju przybyli. Znaleźć się bowiem w Lublinie oznaczało wtedy współuczestniczyć, w podejmowaniu najważniejszych dla przyszłej Polski decyzji.

Najpierw tworzyły się nieformalne grupki. Stanisław Sielski spotykał się z młodzieżą i instruktorami na ulicy Sierocej i Podwalu. Spotkania odbywały się nie całkiem jeszcze legalnie. Przez jakiś czas wszelkie skupiska, także młodzieży, traktowano dość podejrzliwie. A przecież...

— Młodzież ogarniał entuzjazm - mówi druh Sielski. — *Wyzwolenie kraju, wolność. Harcerki zaraz pc oswobodzeniu Lublina tradycyjnie już poświęciły się służbie dziecku, służbie w PCK. Harcerze podejmowali działalność wolniej - dopiero po rozpoczęciu we wrześniu roku szkolnego zaczęły powstawać samorzutnie pierwsze drużyny oparte na przedwojennych tradycjach. Był to zresztą wtedy jedyny wzorzec.*

W tym samym czasie rozpoczęło się

TWORZENIE PODSTAW ISTNIENIA HARCERSTWA

Inicjatorem zorganizowania Głównej Kwatery był Michał Sajkowski, pracownik PKWN, dawny harcerz wileńskiej trzynastki, a kilka miesięcy później Naczelnik Harcerzy.

Instruktorzy zbierali się najpierw w budynku przy ulicy Chopina (tam znalazła swą pierwszą siedzibę tworzona właśnie Główna Kwatera), później przy ul. M. Curie-Skłodowskiej. Na działalność GKH była już oficjalna zgoda PKWN. Podobnie jak na używanie pieczęci i druków. Nie było jednak żadnego prawnego dokumentu będącego trwałą podstawą istnienia organizacji. W październiku ukazał się co prawda okólnik resortu oświaty zalecający kierownikom szkół średnich i podstawowych organizowanie kół PCK i drużyn harcerskich, dopiero jednak 30 XII 1944 roku kierownicy wydziałów oświaty i administracji PKWN wydali zarządzenie „O ponownym powołaniu do życia ZHP". Stało się ono potwierdzeniem prawa Związku Harcerstwa Polskiego do istnienia jako oficjalnie działającej organizacji posiadającej osobowość prawną.

Z ORZEŁKIEM NA CZAPCE I KRZYŻEM HARCERSKIM PRZY MUNDURZE

Jedną z konsekwencji owych postanowień było wydanie przez resort polecenia, aby wszystkich instruktorów potrzebnych do pracy w organizacji reklamować od wojska. Ich pracę stawiano na równi ze służbą żołnierską - jedni walczyli o wolność, drudzy o postawę i charakter młodzieży w wolnej Polsce.

- Odwiedzaliśmy jednostki wojskowe - wspomina druh Rawluk. - *Najczęściej zaglądaliśmy do Krasienina, gdzie odbywało się szkolenie poborowych. Rozmawialiśmy z żołnierzami — nie ukrywam - zależało nam przede wszystkim na tych, którzy kiedyś w harcerstwie działali i umieli się znajomością tej pracy wykazać. Jednym z kilkunastu podchorążych, którzy rozpoczęli z nami współpracę, był Michał Mielnik, były drużynowy. Innym - porucznik Mieczysław Walczak, którego władze oddelegowały do pracy w harcerstwie. Zaangażowany wojskowy i harcerz — jako jedyny w GKH chodził w wojskowym mundurze. Wszyscy inni ubrani byli po cywilnemu. Wyróżniał się, i temu chyba przypisać należy fakt jego zaginięcia w początkach 1945 roku. Prawdopodobnie zamordowany został przez grasujące w okolicznych lasach bandy.*



Zmiany ustrojowe stawały się faktem. Rozpoczęła się

DYSKUSJA NAD ZMIANAMI W PRAWIE I PRZYRZECZENIU HARCERSKIM

nad każdym jego punktem – uważna, niemal drobiazgowa - decydowano bowiem o przyszłym obliczu Związku.

Starzy harcerze, którzy znaleźli się na terenach wyzwolonych chcieli, aby harcerstwo wznowiło działalność. Zdawali sobie też sprawę, że musi ono być inne - inne stały się realia kształtującej nlę państwowości. Celem, jaki przyświecał większości instruktorów, była solidarność z programem przyjętym przez PKWN, ludowym i demokratycznym charakterem nowego ustroju państwa.

- I my bowiem - mówi druh Rawluk - *tworzyliśmy coś nowego. Organizację, którą potem określono jako Lubelskie Harcerstwo. Dało ono początek całej powojennej drodze polskiego harcerstwa.*

W dyskusji nad przyszłym obliczem Związku, obok instruktorów i działaczy, zabierali głos także jego sympatycy, m. in. gen. Marian Spychalski i działacz PPS-owski Bolesław Drobner.

10 stycznia 1945 roku zebrała się po raz pierwszy powołana zarządzeniem władz oświatowych Tymczasowa Naczelna Rada Harcerska. Przyjęto na niej deklarację określającą polityczne stanowisko ZHP oraz jego zadania. Rada zaakceptowała też nowe Prawo i Przyrzeczenie. Ukonstytuowało się Naczelnictwo - przewodniczącym ZHP został Stanisław Nowakowski, wiceprzewodniczącym Tadeusz Nawrocki. Naczelniczką Harcerek wybrano Kazimierę Świętochowską, Naczelnikiem Harcerzy - Michała Sajkowskiego.

Do końca 1944 roku oficjalnie nie ukazał się żaden rozkaz Naczelnika GKH. Pojawił się on dopiero w pierwszym numerze „Wiadomości Urzędowych". Dotyczył mianowań komendantów chorągwi białostockiej, lubelskiej i rzeszowskiej. W tym samym wydaniu po raz pierwszy można było przeczytać obowiązujące od tego dnia Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie.

Zanim jednak ukazał się ten pierwszy numer „Wiadomości" wydano w Lublinie

„ŻYCIE HARCERSKIE"

Ponieważ wciąż brakowało instruktorów, którzy podjęliby pracę z młodzieżą, w gronie członków GKH, która pracowała już od pięciu miesięcy, podjęto starania mające na celu wydawanie gazety harcerskiej. Miało to pomóc w pozyskiwaniu nowych członków Zwrązku, zachęcaniu do powrotu starszych dzia łączy.

- Zgodę na druk uzyskaliśmy od PKWN dość szybko - wspomina Franciszek Rawluk. - *Znaleźliśmy także czynną drukarnię. Brakowało jednak najważniejszego - papieru Nawet niektóre urzędowe zawiadomienia pisano na czystej stronie zadrukowanych niemieckich blankietów. Przypomniałem sobie wówczas o wojsku, dogadałem się, co prawda na własną rękę, załatwiłem papier - może niezbyt legalnie, ale przecież to ja właśnie byłem odpowiedzialny za sprawy organizacyjne naszego niewielkiego wydawnictwa. Dostałem papier ze starych poniemieckich magazynów znajdujących się nieopodal Dworca Głównego.*

W ten sposób na początku 1945 roku ukazał się pierwszy numer „Życia Harcerskiego". W pokaźnym, jak na owe czasy, nakładzie sześciu tysięcy egzemplarzy. Znalazł się w nim m. in. tekst Przyrzeczenia, krótki materiał od redakcji, komunikaty Naczelnictwa ZHP, materiały do planu pracy drużyny oraz przykładowa zbiórka zastępu „Orłów".

Jak się wkrótce okazało, był to zarazem numer ostatni „Życia", mimo że gotowe były już materiały do dwóch następnych. Tym razem papieru nie udało się zdobyć. Na otarcie łez redakcja otrzymała jeszcze od wojska motocykl z przyczepą. Uciechy było co niemiara, kiedy okazało się, iż żaden z pracowników GKH nie ma prawa jazdy. Wreszcie znalazł się kierowca, otrzymał specjalne zezwolenie, z którym pojechał szukać papieru w terenie. Niestety, motocykla i kierowcy nie zobaczono już więcej w Lublinie. Jeszcze kilka miesięcy po wyzwoleniu miasta wałęsały się po okolicy grupki niemieckich band, które mordowały przypadkowo napotkanych ludzi, tym bardziej, gdy mieli oni jakikolwiek związek z nową władzą. Wyjazd za miasto bez wojskowej eskorty był niezwykle niebezpieczny.

Drugi numer gazety nie ukazał się już nigdy. Ten jedyny, który wydrukowano, był pożyteczną próbą popularyzacji nowej linii ideowej i wychowawczej harcerstwa.

Kiedy w styczniu 1945 roku ruszył front, wyzwolona została Warszawa i postanowiono ją odbudować, przeniosły się tutaj wszelkie władze tworzone od lipca w Lublinie. W marcu 1945 roku także Naczelnictwo i Główne Kwatery. Przywieziono tu również całe bogate archiwum. Niestety, wkrótce w niewyjaśnionych nigdy okolicznościach wszystkie te dokumenty zaginęły.

Po zmianach, jakie miały miejsce po "przeprowadzce" w kierownictwie organizacji, rozpoczął się kolejny etap harcerskiej działalności.

TOMASZ WOŹNIAK
Fot. **CAF**

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

● Jestem spod znaku Raka. Mam 16 lat i czuję się bardzo samotna. Lubię czytać książki. Zbieram fotosy aktorów i znaczki pocztowe. Kocham spokój i ciszę. Szukam szczerych przyjaciół, **Agata Twardosz, Śledziejowice 184, 32-020 Wieliczka;** ● Lubię ludzi wesołych. Nie unikam poważnych i długich korespondencji. Interesuje mnie problem narkomanii oraz organizacji młodzieżowych, **Gabriela Wajda, Łodygowice 1010, 34-325 Bielsko-Biała;** ● Interesuję się muzyką - rockową, sportem, sprawą Trójkąta Bermudzkiego i językiem esperanto. Uwielbiam Lady Pank, Kajagoogoo i Kombi, **Stefania Tumanowicz, Gaj Wielki 44/3, 64-553 Grzebienisko;** ● Mam 14 lat. Interesuję się muzyką rockową i zbieram plakaty zespołów muzycznych. Cenię przyjaźń i szczerość. Nie lubię klamstawa, **Joanna Olkuska, 09-412 Proboszczewice;** ● Mam 16 lat. Chodzę do ZSZ. Lubię słuchać muzyki rockowej. Uwielbiam Limahla, Stevie Wondera i Kajagoogoo. Zbieram fotosy zespotów. Nawiążę korespondencję z rówieśnikami z całego kraju, **Arkadiusz Dąbek, ul. Kwiatowa 4/4,44-310 Wodzisław Śląski;** ● Alphaville to mój najukochańszy zespół. Lubię się śmiać, opowiadać dowcipy i dostawać prezenty - szczególnie pod choinkę. Kto zechce napisać do mnie? Czekam z utęsknieniem! **Joanna Hauza, ul. Strzegomska 276/7,54-432 Wrocław;** ● Mam 13 lat i bzika na punkcie wędkarstwa. Zbieram książki, znaczki pocztowe i humory (wszystko o rybach). Oczywiście jestem też „normalny" i lubię muzykę rockową. Czy odezwie się do mnie bratnia dusza? **Łukasz Jesse, ul. Sucharskiego 3/2, 65-562 Zielona Góra.**



Damski bokser

Mam 13 lat i chodzę do szóstej klasy. Trzy lata temu doszło do nas trzech nowych uczniów, wśród nich Jakub. Z nim od początku mieliśmy kłopoty. Jest bardzo przemądrzały, wszystkim narzuca swoje zdanie, a tych, którzy nie podporządkowują się, bije boleśnie. Dotyczy to również dziewcząt, zwłaszcza jednej z nich. Jakub często podnosi na nią rękę, a ona nie może zwrócić się o pomoc do wychowawcy, gdyż po prostu boi się Kuby.

Wielokrotnie próbowaliśmy porozmawiać z nim, skłonić go do zmiany zachowania. Niestety, wszystko na nic. Kuba wcale nie zwraca na nas uwagi. Bardzo proszę, wydrukujcie mój list, może po przeczytaniu go Jakub się zmieni. **Trzynastolatka**

Nie oddal śpiwora...

Wracając z wakacji spotkałam chłopca o imieniu Sławek. Sławek posiadał namiot, a nie miał śpiwora. Sprawiał wrażenie słownego, dlatego wielkodusznie pożyczyłam mu śpiwór oraz podałam swój adres, pod który miał mi go odesłać. Przesyłki do dziś nie otrzymałam.

Co gorsze, śpiwór nie był moją własnością. Należał do przyjaciół. Właścicielom nie powiedziałam o całej sprawie. Nie mam adresu tego chłopca może on zgubił mój. Może odezwie się jeśli przeczyta ten list?

OD REDAKCJI: Sławku, adres Anki jest w redakcji. Jeśli zgubiłeś, napisz - prześlemy. A swoją drogą - Ania ma nauczkę - nigdy nie pożycza się cudzych rzeczy. Prawdopodobnie za śpiwór będzie musiała zapłacić.

(**bz**)

Prawo buszu

Chodzę do VIII klasy. Mam swojego chłopca Heńka. Jest ode mnie starszy o dwa lata. Chodzimy ze sobą już osiem miesięcy i jest nam ze sobą bardzo dobrze. Niestety, mamy poważny problem. Chłopcy z mojej szkoły robią wszystko, by doprowadzić do naszego rozstania. Jeden z nich żąda, żebym Heńka rzuciła dla niego. W przeciwnym wypadku grozi, że pobije mojego chłopca. Nie są to tylko słowa, gdyż już kilkakrotnie wraz z kolegami czatowali na nas. Jestem zrozpaczona. Nie wiem, co powinnam zrobić. Czy zdradzić mojego chłopca, czy też próbować wytłumaczyć kolegom ze szkoły, że postępują źle i robią nam krzywdę? I jak do nich przemówić, żeby zrozumieli? **Załamana**

Dziewczyny, bądźcie dziewczęce!

Coraz więcej dziewcząt pali papierosy i pije alkohol. Od najmłodszych lat malują się, by sprawiać wrażenie starszych niż są w rzeczywistości. Zaginęły gdzieś skromność i umiar w ubiorze. Dziewczęta przestały same siebie szanować^ niektóre chodzą na przykład z chłopcami do piwnicy na piwo. Myślą pewnie, że oni wolą właśnie takie „dobre" koleżanki. A jest tak, że na życiową partnerkę wybierają dziewczynę delikatną, miłą, inteligentną i bez nałogów. Takie dziewczyny wygrywają. Są szanowane i cenione. Dziewczyny, bądźcie zawsze dziewczęce!

Morela (adres znany redakcji)

Okrutna moda

Mam 12 lat. Mieszkam w Łodzi. Bardzo podoba mi się moja dzielnica. Jedno mnie tylko martwi: na naszym podwórku zapanowała moda strzelania z procy. Każdy chłopiec ją ma. Strzelają do czego mogą: do wróbli, gołębi, kotów, psów itd. W ten okrutny sposób zadają im wiele bólu.

Ogromnie kocham zwierzęta i nie mogę się pogodzić, że tak cierpią. Ostatnio chłopcy złamali wróblowi skrzydełko. Ptak nie mógł latać. Zajęłyśmy się nim z koleżankami. Niestety - po jakimś czasie zdechł.

Jak zmienić stosunek chłopców do zwierząt? Poradźcie co zrobić, by ich postępowanie było inne?

Ela i koleżanki

Na mapie świata

● Strategia rozwoju do 2000 roku ● Plaga bezrobocia ● Parlament FDJ ● Kolej na Makau

W dniach 20—21 maja br. odbyła się w Moskwie narada sekretarzy do spraw ekonomicznych komitetów centralnych partii komunistycznych i robotniczych krajów członkowskich RWPG. Z ramienia PZPR uczestniczyli w niej: członek Biura Politycznego, sekretarz KC Kazimierz Barcikowski oraz wiceprezes Rady Ministrów, stały przedstawiciel PRL w RWPG Janusz Obodowski.

Narada moskiewska stanowiła ważny etap w uzgadnianiu wspólnej strategii rozwoju ekonomicznego do roku 2000. „Kraje członkowskie RWPG dysponują wszystkim co niezbędne dla wyjścia na czołowe pozycje w postępie naukowo-technicznym" - stwierdzono w komunikacie końcowym. Zapoczątkowano skoordynowane prace w takich ważnych dziedzinach jak: elektronizacja, kompleksowa automatyzacja, energetyka atomowa, nowe materiały i technologie, biotechnologia. Uznano także, iż w celu stałej i szybkiej modernizacji istniejącej produkcji szczególny nacisk należy położyć na rozwój przemysłu maszynowego, produkcję urządzeń wysokiej jakości i na światowym poziomie technicznym. Dużą rolę w tym zakresie powinien odegrać powstały niedawno komitet RWPG d/s współpracy w przemyśle maszynowym.

W komunikacie końcowym podkreśla się również, że kraje członkowskie RWPG uważają za swój internacjonalistyczny obowiązek kontynuować pomoc Wietnamskiej Republice Socjalistycznej, Republice Kuby i Mongolskiej Republice Ludowej w przyspieszeniu rozwoju oraz zwiększeniu efektywności ich gospodarek narodowych. Współpraca i pomoc gospodarcza powinny przyspieszyć proces stopniowego wyrównywania poziomów rozwoju gospodarczego tych krajów z poziomem europejskich krajów RWPG.

„Oni nie mogą zorganizować się w miejscu pracy, bo nie mają pracy. Dlatego bezrobotni Francji stworzyli własny rodzaj związku zawodowego" – oświadczył dziennikarzom Maurice Pagat, szef nowopowołanego Krajowego Związku Bezrobotnych. Zrzesza on blisko 100 lokalnych organizacji w całym kraju. „Po raz pierwszy w historii Francji ludzie bezrobotni zorganizowali się, ludzie, których głosu nikt nie słucha w publicznych dyskusjach, ludzie, którzy muszą sami bronić swoich interesów" - powiedział dalej pan Pagat. Z oficjalnych danych wynika, że blisko 2,5 miliona ludzi tj. co dziesiąty zdolny do pracy Francuz nie może zdobyć zatrudnienia. Stanowią oni nowy rodzaj proletariatu końca XX wieku.

Problem bezrobocia trapi nie tylko Francję, podobno kłopoty przeżywają również inne kraje Europy Zachodniej. Na V Zjeździe Europejskiej Konferencji Związków Zawodowych w Mediolanie (Włochy) poinformowano, że liczba osób pozostających bez pracy osiągnęła na Zachodzie aż 18 milionów! Prognozy na przyszłość także nie napawają optymizmem. Za rok armia bezrobotnych wzrośnie o następne 2 miliony. Rekord bezrobocia osiąga Hiszpania - 22 procent. Na drugim miejscu jest Irlandia - 18 procent. Wśród tej ogromnej rzeszy ludzi poszukujących pracy coraz więcej jest ludzi młodych - po szkołach zawodowych, technikach, a nawet po studiach.

W stolicy NRD Berlinie 21 maja br. rozpoczął obrady XII Parlament Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ), na który przybyło z całego kraju 3 tys. delegatów reprezentujących ponad 2,5 milionową organizację. W przeddzień XII Parlamentu oddano do użytku zelektryfikowaną linię kolejową Berlin-Rostock. Temu przedsięwzięciu patronowała FDJ, która także aktywnie uczestniczy w rozbudowie Berlina. Na placach budów pracuje 18 tys. młodzieży z całej republiki oraz 15 tys. młodych mieszkańców Berlina. W sumie na terenie NAD w tysiącach przedsięwzięć gospodarczych aktywnie uczestniczy ponad 1,2 miliona członków Wolnej Młodzieży Niemieckiej. XII Parlament dokona oceny dotychczasowej działalności FDJ oraz wypracuje program działania na następne lata.

U ujścia rzeki Ci-ciang, na południowo-wschodnim wybrzeżu Chin, niedaleko Hongkongu leży Makau, posiadłość zamorska Portugalii. Powierzchnia tego dziwnego państewka wynosi zaledwie 16 km^2. Pierwsi Portugalczycy, którzy zawitali do Makau w 1557 roku, nie podpisali z Chińczykami żadnych umów dzierżawnych ani też nie określili daty swego odejścia. Ot, po prostu przyszli, założyli faktorię handlową i tak zostało. Inaczej postąpili Anglicy z Hongkongiem. W roku 1898 podpisali oni kontrakt na podporządkowanie tej kolonii koronie brytyjskiej na lat 99. Po długich, już współcześnie toczących się rozmowach brytyjsko-chińskich ustalono dalszą przyszłość Hongkongu. Otóż po roku 1997, a więc po wygaśnięciu kontraktu dzierżawnego, Hongkong stanie się specjalnym regionem administracyjnym ChRL, a kapitalistyczny system społeczno-gospodarczy będzie tam utrzymany przez kolejne 50 lat. Praktycznie więc interesy brytyjskie w Hongkongu zostaną zachowane, chociaż administracyjnie będzie on należał do Chin.

A co się stanie z drugim minipaństewkiem na terytorium ChRL - Makau? O tym właśnie rozmawiał prezydent Portugalii Antonio Ramalho Eanes z chińskimi przywódcami w czasie wizyty, jaką złożył w trzeciej dekadzie maja br. w Pekinie. Należy przypuszczać, że przejęcie Makau przez ChRL odbędzie się na podobnej zasadzie co Hongkongu od Brytyjczyków. Przy okazji warto podkreślić, że chociaż Makau jest miniaturą Hongkongu, jednakże stanowi ważny ośrodek handlu i transakcji finansowych. Ponadto port rybacki i handlowy spełnia rolę przeładunkową dla towarów chińskich, Makau jest też od lat uznanym eksporterem odzieży, obuwia i zabawek. Ostatnio - wzorując się na Hongkongu i Singapurze - rozpoczęto tu produkcję elementów sprzętu informatycznego (elektroniki).

ST. BOROWIECKI

Specjalnie dla „ŚM"



PROSTO Z WIEDNIA

Przy wąskiej, starej uliczce Wiednia, stolicy Austrii,, wśród domów mieszkalnych, niczym się od nich nie różniąca szkoła. Przez sześć dni w tygodniu, zawsze o godzinie 7.45 — jak i w każdej innej — jej drzwi otwierają się dla kolorowego i hałaśliwego tłumu uczniów.

Tak właśnie, dość z zewnątrz niepozornie, wygląda większość wiedeńskich szkół - i 4-letnich podstawowych i 8-letnich gimnazjów.

Szkoła zaczyna się w Austrii już dla sześciolatków. Naukę w gimnazjum zaczynają jedenastolatki. Trwa ono osiem lat i kończy się maturą. Ci jednak, którym zależy na szybkim zdobyciu zawodu, mogą po skończeniu IV klasy gimnazjum pójść np. do szkoły handlowej lub do pracy.

Klasy wyglądają całkiem zwyczajnie: stoliki i krzesła, no i oczywiście stolik nauczyciela. Uczniowie siadają po dwoje, często chłopcy z dziewczynami. Nikogo to nie interesuje - ani nauczyciela, ani kolegów, pod warunkiem oczywiście, że nie gadają podczas lekcji. W każdej klasie są jeszcze zamykane na klucz szafki, po jednej na trzy osoby. Zostawia się w nich niepotrzebne w najbliższym czasie książki i zeszyty. Wszyscy przychodzą do szkoły ubrani jak chcą, nie ma też zwyczaju zmieniania butów. Mimo to na korytarzach i w klasach jest bardzo czysto. Książki i zeszyty, obłożone w kolorowe okładki, noszą młodzi Austriacy w różnych torbach, plastykowych koszykach i w teczkach. Te ostatnie lubią dziewczyny; są to spore płaskie walizeczki. W młodszych klasach są one małe, w różne śmieszne kółka czy kreski. W gimnazjum - większe jednokolorowe, np. czerwone, lakierowane, z białymi rogami i uchwytem.

Gimnazjum, do którego chodzi zaprzyjaźniona ze mną uczennica III klasy, 13-letnia Karina, właśnie się rozbudowuje. Nad starym budynkiem, wznosi się dwa nowe piętra. W nowych klasach i pracowniach: biologicznej, chemicznej, fizycznej będą mechanicznie opuszczane przy doświadczeniach rolety, komputery osobiste, sprzęt doświadczalny. Będzie też większa i nowocześniejsza sala gimnastyczna. Ale to dopiero za dwa lata...

W III klasie gimnazjum jest dwanaście przedmiotów: niemiecki, angielski, łacina, religia, historia, geografia, matematyka, chemia, fizyka, muzyka, rysunki, gimnastyka. Najgorsza dla wszystkich jest łacina; pierwszy rok nauki, a już trudne tłumaczenia, bardzo trudne testy - sprawdziany. Matematyka za to - ułatwiona, bo od III klasy liczy się już wyłącznie na kalkulatorach. Lekcje muzyki są urozmaicone i lubiane: słucha się na nich pop-music i rocka, i np. Mozarta, śpiewa folklorystyczne piosenki, poznaje instrumenty muzyczne całego niemal świata. Gimnastyka to dwa razy w tygodniu dwie godziny, basen i ćwiczenia w sali. Na religii zaś III klasa oglądała ostatnio w wideo film „Quo vadis". Nie wszyscy wiedzieli podobno, kto napisał książkę...

Klasa III ma co dzień 5-6 lekcji. Większość uczniów zostaje w szkole o godz. 14.30 by pod okiem nauczycielki odrobić choć część zadań domowych. Zadają bowiem sporo. Np. z niemieckiego trzeba przygotowywać od czasu do czasu referat na dowolny temat, a potem wygłosić go przed klasą.

Na lekcji nauczyciele jak u nas pytają; stawiają plus lub minus. Stopnie — 1, 2, 3, 4, 5 — stawia się za testy i klasówki. Klasówki pisze się tylko z łaciny, angielskiego, matematyki i niemieckiego. Każda klasówka jest z góry zapowiedziana - wiadomo kiedy i co na niej będzie. Nauczyciele wyznaczają też specjalny dzień pytania — Prüfung. Wszystkie oceny oraz plusy i minusy składają się na ocenę semestralną.

Rok szkolny zaczyna się w Austrii między 1 a 6 września, data ta jest ruchoma. Pierwszy semestr kończy się w lutym, drugi - w końcu czerwca. W lutym są tygodniowe ferie i dla starszych uczniów-gimnazjalistów szkoła organizuje zazwyczaj wyjazdy na obóz sportowy. Jedzie się oczywiście w Alpy i ćwiczy jazdę na nartach. W alpejskim kraju każdy prawie jest narciarzem - to sport narodowy. Podzieleni według umiejętności, uczniowie pod kierunkiem nauczyciela trenują nie tylko jazdę na stoku i slalom, ale również jazdę w lesie, w głębokim śniegu. Wieczorami mają dyskoteki lub inne rozrywki, zawsze tylko do 22. Na takich obozach panuje, przeciwnie niż w szkole, ogromna dyscyplina i za drobne nawet przewinienia sypią się kary. Karą jest zawsze praca na rzecz grupy, np. nakrywanie dla wszystkich stołów do posiłków, sprzątanie sypialni itd. Czytelników-harcerzy pewnie zdziwi taka metoda karania, tępiona na naszych obozach. No cóż, co kraj, to obyczaj...

Nauka to dla większości uczniów — wiadomo — zło konieczne. Najprzyjemniejsze jest to, co poza nią: spotkania z koleżankami i kolegami, wyprawy do kina, wspólne spacery po mieście. Wiedeńska młodzież szkolna najczęściej wędruje na Prater - do dzielnicy diabelskich młynów, czarodziejskich grot, zwariowanych kolejek i tysięcy innych rozrywek. Tylko że na rozrywki czasu jest mało, zazwyczaj więc odkłada się je do soboty, gdy lekcje trwają krócej, i niedzieli. Czasem rodzice organizują w domu party. Zaprasza się wtedy kilkanaście osób, przeważnie z klasy i gada lub tańczy.

Codzienne wieczory to na ogół godziny spędzone przed telewizorem (Austriacy mają aż osiem programów, jest więc w czym wybierać) lub nad ulubionym tygodnikiem nastolatków „Bravo". No i oczywiście słuchanie taśm z modnymi zespołami: Modern Talking, Madonna King, Wham, Duran Duran. Listę przebojów ogłasza raz w tygodniu radio i telewizja, i po prostu wypada wiedzieć, który zespół jest w bieżącym tygodniu „numerem jeden".

Z tymi sobotami - śmieszna rzecz. W kraju, gdzie prawie wszyscy rodzice w tym dniu nie pracują, jest więc możliwość cotygodniowego dwudniowego wypoczynku całej rodziny, często połączonego z wyjazdem, kilka lat temu przeprowadzono sondę: czy uczniom skrócić naukę do pięciu dni w tygodniu? I co powiecie? Rodzice wypowiedzieli się jak jeden mąż: nie! Skrócony szkolny tydzień przeciążyłby, ich zdaniem, młodzież, lub... zubożył program. Niech więc soboty staną się zwykłymi domowymi dniami, byleby Sabinę czy Martin nauczyli się jak najwięcej...

Trzy przyjaciółki: Natasza, Karina, Iris chodziły już razem do poprzedniej szkoły — podstawowej. Są nadal w jednej - III - klasie, widują się więc co dzień. A jednak telefonują do siebie każdego wieczora, naradzając się czy Natasza ma zadzwonić do swego chłopaka czy nie, lub omawiając jakiś szczególnie ciekawy program telewizyjny. Ale rodzice tego wyraźnie nie lubią, szczególnie zmęczeni pracą ojcowie, i dłuższe pogadanie możliwe jest tylko, gdy nie ma ich w domu. Poza tym - telefon kosztuje.

Bieżąca moda obowiązuje nie tylko na ulicach, ale również w szkołach. Dziewczyny przywiązują do niej dużą wagę, choć rzadko o ubraniach rozmawiają. Po prostu; „nosi się" w tym roku w klasie Kariny długie włosy, ogromne płócienne kurtki, płaskie pantofle, spodnie i barwne gnieciuchy-kombinezony, zawsze z szerokim paskiem. I każda dziewczyna tak właśnie wygląda. W starszych klasach moda wyraźnie się indywidualizuje; niektórzy uczniowie wyglądają bardzo poważnie i wcale nie szkolnie. Ale wszyscy najbardziej nawet ekstrawaganccy, są bardzo schludni. Zawsze świeże włosy i ubranie, na co dzień używane dezodoranty robią swoje. Dziewczynki szybko uczą się sztuki ubierania: doboru kolorów, różnych drobiazgów. Nie jest to trudne: reklamy w telewizji, przepiękne wystawy wyrabiają tę umiejętność niemal automatycznie.

Tak więc szkoła, mimo że nierozerwalnie połączona z koniecznością „wkuwania", lękiem przed nieudaną klasówką, jest jednak miejscem atrakcyjnym. Poza nią, w domu, czas płynie dość powoli między ekranem telewizora a biurkiem z rozłożonymi kajetami. Zwłaszcza gdy rodzice pracują do późna, a w domu nie ma rodzeństwa. Gdy nie ma też obowiązku pomocy mamie w zakupach czy sprzątaniu, bo... człowiek musi się przede wszystkim uczyć. Ależ inkubator - westchnie niejeden z was, mając w perspektywie wyniesienie kubła śmieci. No cóż, co kraj, to obyczaj...

KRYSTYNA KLIMOWICZ

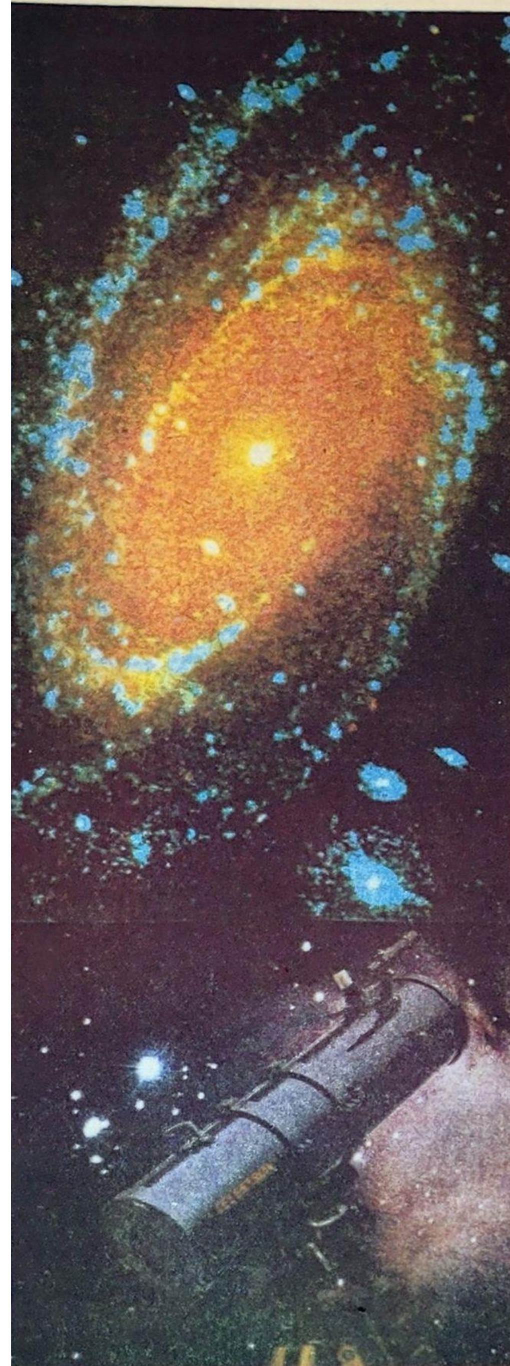


Jeden z tych starych mieszkalnych budynków – to szkoła

Fot. *W Klimowicz*

Co było, kiedy niczego nie było...

z prof. MARKIEM DEMIAŃSKIM rozmawia Sławomir W. Malinowski





Jest absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego, jego specjalność to fizyka teoretyczna. Tytuł profesora otrzymał w roku 1982. Opublikował około 40 prac naukowych w kraju i za granicą. Najważniejsza z nich dotyczyła nowych rozwiązań równań Einsteina opisujących obracające się czarne dziury. Prowadził badania między innymi w Związku Radzieckim, Wielkiej Brytanii, Francji, Danii i USA. Jest członkiem Międzynarodowego Komitetu Teorii Grawitacji w Bernie (w Szwajcarii) i Amerykańskiego Towarzystwa Fizycznego. Obecnie pełni funkcję zastępcy kierownika Zakładu Teorii Względności i Grawitacji w Instytucie Fizyki Teoretycznej UW. Urodził się w lutym 1939 roku w Warszawie.

- Panie profesorze, co było, kiedy niczego nie było?

— To bardzo złożony problem, nad którym można się zastanawiać zarówno w aspekcie filozoficznym, religijnym, jak i naukowym. W świecie nauki obecnie największą popularnością cieszy się scenariusz, w którym przyjmuje się, że w bardzo wczesnych etapach wszechświat był wypełniony bardzo gęstą i bardzo gorącą materią.

Daleko stąd jednak jeszcze do zrozumienia, w jaki sposób i z czego powstała owa pierwotna materia. Obecnie istnieją na ten temat trzy różne hipotezy. Wszechświat mógł powstać z... niczego. To na pozór szokujące stwierdzenie znajduje coraz więcej zwolenników. Okazuje się, że współczesne teorie fizyczne dopuszczają taką możliwość. Dostępne obecnie dane obserwacyjne nie pozwalają ani na potwierdzenie tej hipotezy, ani też nie są z nią sprzeczne. Druga możliwość to cykliczna ewolucja wszechświata. Po fazie rozszerzania, którą obserwujemy obecnie, następuje kurczenie. Wszechświat kurczy się do pewnych minimalnych rozmiarów, a następnie znowu zaczyna się rozszerzać. W myśl tej hipotezy nie ma on ani początku, ani końca, trwa wiecznie. I w końcu trzecia możliwość - wszechświat mógł powstać w momencie tzw. Wielkiego Wybuchu z materii, której gęstość i temperatura były nieskończone.

— Jeżeli wszechświat mógł powstać z niczego, to co spowodowało to „pierwsze pchnięcie"?

— Zadaje pan coraz trudniejsze pytania. Na to też nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Zbyt mało wiemy o tym, co działo się w zamierzchłej historii wszechświata. Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację. Przy odrobinie wprawy można ustawić pionowo na stole ołówek zaostrzonym końcem do dołu. Każdy, kto próbował to zrobić, wie, jak to jest trudne. Tak postawiony ołówek może stać bardzo długo, ale wystarczy delikatne dotknięcie, aby go z tego stanu wyprowadzić i przewrócić. Ołówek stojący zaostrzonym końcem do dołu znajduje się w stanie równowagi nietrwałej. Wydaje się, że wszechświat początkowo również był w takiej sytuacji. Należy się więc zastanowić nad tym, co mogło zburzyć ten stan, skoro wszechświat był „pusty". Otóż właśnie w fizyce „pusty wszechświat" wcale nie oznacza, że w nim po prostu nic nie istnieje. Jest tam próżnia i choć bardzo trudno to sobie wyobrazić, mogą w niej stale powstawać i znikać cząstki. Ten ciągły proces - kreacji i anihilacji cząstek - zachodzi w sposób przypadkowy, powodując ciągłe zmiany, na przykład gęstości materii. Przypuszcza się, że takie właśnie fluktuacje mogły spowodować to „pierwsze pchnięcie".

- Badając historię ludzkości korzystamy z różnego rodzaju ksiąg, kronik, przekazów i szczątków. Z czego korzysta astronom starający się poznać dzieje wszechświata?

- To jest zupełnie fascynujące. Gdy przez teleskop patrzymy na nocne roziskrzone niebo, widzimy wszechświat jak gdyby w przekroju. A to dlatego, że dostrzegamy jednocześnie obiekty bardzo młode, takie jak gwiazdy, nieco starsze, takie jak nasza Galaktyka i inne galaktyki, oraz obiekty bardzo stare, leżące na krańcach obserwowanego wszechświata — kwazary. Innymi słowy, obserwując niebo widzimy jak gdyby całą historię wszechświata. Jak wiadomo, światło rozchodzi się w przestrzeni ze skończoną prędkością, dlatego w danej chwili spoglądając na dwa obiekty, jeden bardzo bliski, a drugi bardzo daleki, widzimy ten drugi takim, jakim był w momencie wysłania światła, a więc znacznie młodszym. W niedalekiej przyszłości, kiedy sporych rozmiarów teleskop zainstalowany w sputniku zostanie wyniesiony daleko poza ziemską atmosferę, można będzie dostrzec obiekty położone dziesięciokrotnie dalej niż dostrzegane obecnie, a więc jeszcze młodsze. Obserwacje te mogą przynieść odpowiedź na pytanie, co się działo we wszechświecie w momencie formowania się galaktyk.

- Owszem, ale sama ewolucja galaktyk nie stanowi jeszcze dowodu na to, że wszechświat powstał w wyniku Wielkiego Wybuchu.

— Tak, to prawda. Argumentów potwierdzających hipotezę Wielkiego Wybuchu jest kilka. Światło docierające do nas z odległych galaktyk jest emitowane głównie przez atomy wodoru i helu. Charakterystyczne linie widmowe tego światła są przesunięte ku czerwonej stronie widma. Od przeszło stu lat wiadomo, że ton odbieranego dźwięku ulega zmianie, jeżeli jego źródło porusza się względem obserwatora. Przesunięcie prążków widmowych ku czerwieni świadczy o oddalaniu się galaktyk. Jeżeli galaktyki oddalają się od nas, to oznacza, iż w zamierzchłej przeszłości były położone znacznie bliżej siebie. Ekstrapolując* ten proces dostatecznie daleko wstecz, dochodzimy do punktu, z którego się to wszystko zaczęło, do Wielkiego Wybuchu. Innym obserwacyjnym potwierdzeniem hipotezy Wielkiego Wybuchu jest odkryte dwadzieścia lat temu tzw. promieniowanie reliktowe. Jest to promieniowanie termiczne wypełniające cały wszechświat, które teraz można obserwować tylko za pomocą radioteleskopów. Jego temperatura jest zaledwie o trzy stopnie wyższa od absolutnego zera. Aby wyjaśnić pochodzenie tego promieniowania, musimy wyobrazić sobie rozgrzany do białości piec. Gdybyśmy zaczęli powoli rozsuwać jego ścianki, to w środku byłoby coraz chłodniej, zmieniałby się też kolor wysyłanego światła, wnętrze stawałoby się coraz bardziej czerwone, a w końcu przestałoby świecić. Kiedyś cały wszechświat przypominał właśnie taki piec...

— Można z tego wnioskować, że nauka jest na dobrej drodze do poznania, albo inaczej, dotarcia do momentu „zero" Wielkiego Wybuchu.

— Korzystając z obserwacyjnych danych o rozszerzaniu się galaktyk i z informacji o istnieniu promieniowania reliktowego można zbudować dość dokładny model ewolucji wszechświata, poczynając od momentu, kiedy jego umowny wiek wynosił zaledwie jedną milionową część sekundy. Od tej bowiem chwili do opisu zmian zachodzących we wszechświecie możemy stosować prawa fizyki sprawdzone w naszych ziemskich laboratoriach...

— Jak to wszystko, co pan powiedział, a co jest związane z nauką, z fizyką i astronomią, ma się do dogmatów religijnych?

— Po pierwsze, uważam, że każdy ma prawo swobodnego wyboru, może przyjąć to, co się nazywa naukowym poglądem na ewolucję wszechświata, a może uznać, iż bardziej odpowiada mu wariant prezentowany w takiej bądź innej religii. Mogę jednynie wskazać na logiczną spójność fizycznego scenariusza ewolucji wszechświata i jego obserwacyjne fundamenty. Po drugie, nie ma jednego opisu jego dziejów akceptowanego przez wszystkie religie. Takich schematów jest wiele. Muszę przyznać, że byłem bardzo zafascynowany, kiedy odkryłem, że w legendach Indian ze szczepu Navaho znajduje się wiele elementów zbieżych z teorią Wielkiego Wybuchu...

Warszawa, grudzień 1984 r.

* **Ekstrapolacja** - wnioskowanie o całości jakiegoś procesu na podstawie obserwacji jego wycinka.

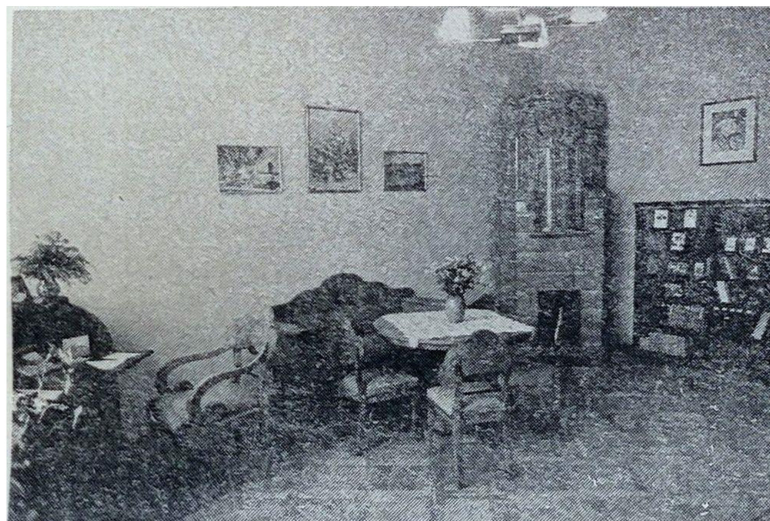
W dwudziestą rocznicę śmierci Marii Dąbrowskiej

„Moim domem na świecie jest słowo..."

WARSZAWA (PAP). Pisała o ludziach skromnych, ich zwyczajnym życiu, radościach i smutkach, o potrzebie miłości, przyjaźni, wiary w ludzi. Twórczość jej była i nadal pozostanie bliska szerokim kręgom czytelników. 19 maja br. minęła dwudziesta rocznica śmierci Marii Dąbrowskiej. O jej życiu i dziełach wiele można dowiedzieć się w Muzeum Jej imienia, filii Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie.

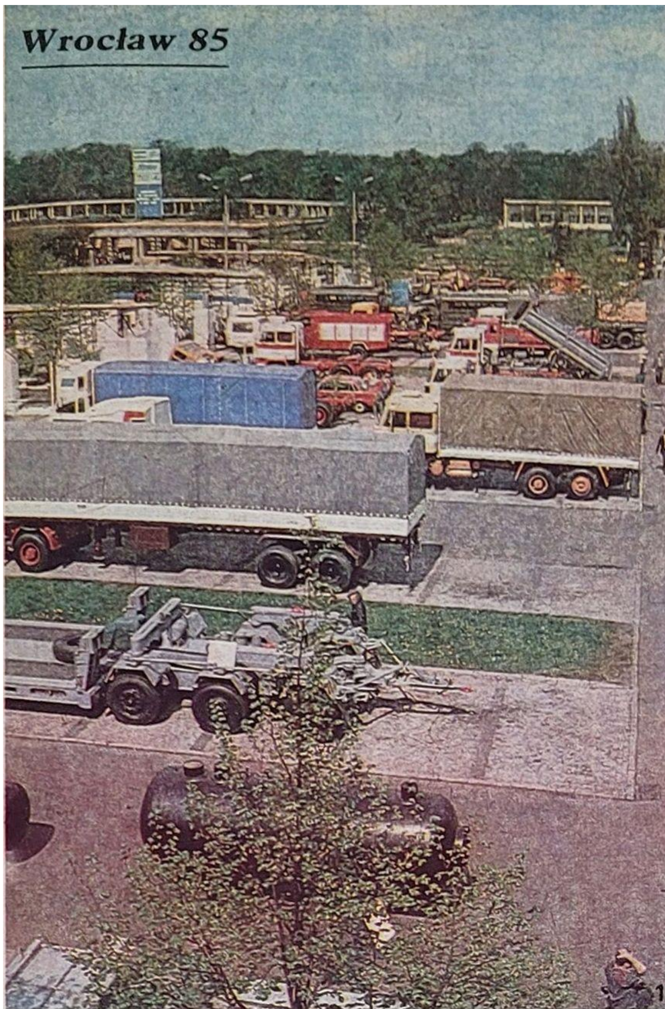
Muzeum mieści się w dawnym mieszkaniu pisarki przy ulicy Polnej 40, w którym autorka „Nocy i Dni" spędziła prawie pół życia (1917-1964). *„Mieszkać tak długo w jednym miejscu, gdy inni przemierzają swym życiem dziesiątki mieszkań, miast, krajów - to zdawałoby się nuda i jednostajność. A jednak, jeślibym napisała powieść nie wykraczając poza historię tego domu, okazałoby się, że jest to patetyczna historia miasta, historia Polski, historia wreszcie człowieka we wszystkich niemal przejawach jego losów osobistych i społecznych"* — tak pisała Dąbrowska w jednym ze swoich opowiadań. W mieszkaniu przy Polnej stworzyła większość swoich dzieł, wśród nich wspomniane już „Noce i Dnie".

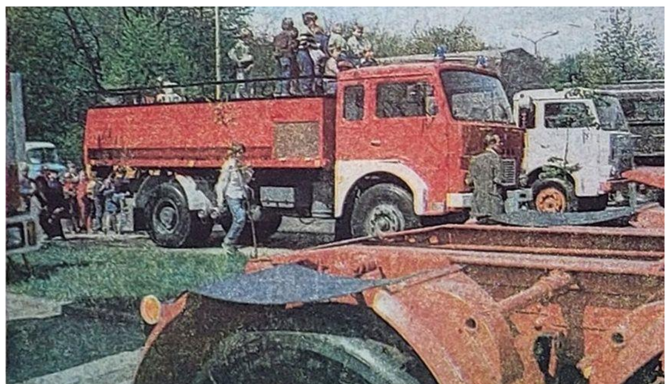
Twórcy Muzeum postawili sobie za cel przełamanie obowiązujących w tego rodzaju placówkach schematów, pragnąc aby jego zwiedzanie miało raczej charakter wizyty składanej pisarce. Mieszkanie urządzone jest tak, jakby autorka „Ludzi stamtąd" nadal tu przebywała. Najwierniej odtworzono jej dawny gabinet, do czego przyczyniła się rodzina, przekazując pamiątki po pisarce - oraz jej meble. Biurko stoi tak, jak za życia, na nim fotografie męża Mariana i wieloletniej przyjaciółki - również pisarki - Anny Kowalskiej. Są fotografie rodziców, książki, maszyna do pisania, a nawet kosz na śmieci. Ściany pokoju, podobnie jak i jadalni, zdobią rysunki, pejzaże oraz kwiaty, malowane przez Dąbrowską. W następnym pokoju - książki, fotografie, dokumenty, pamiętniki, listy. Są tu Jej artykuły publicystyczne, którymi rozpoczęła swoją twórczość, szeroko otwartą na najistotniejsze problemy kraju. Jej pierwsza praca literacka „Powstanie 1863. Powitanie wiosny i swobody", a dalej „Dzieci ojczyzny", „Uśmiech dzieciństwa", „Gałąź czereśni" i inne. Wśród listów zwraca uwagę zwłaszcza jeden, w którym autorka „Gwiazdy zarannej" pisze po nagłej śmierci męża: *„Moim jedynym domem na świecie jest teraz słowo. Jeśli teraz sobie z nim nie poradzę, to zginę".* W mieszkaniu - muzeum przy ulicy Polnej odbyły się w końcu maja spotkania aktorskie Zofii Kucówny, która prezentowała fragmenty dzienników pisarki. Przedstawicielom „ŚM" nie udało się, niestety, zdobyć biletów na to spotkanie, ale ponieważ powtórzone zostanie ono po wakacjach, jesienią, sądzimy, że za drugim razem na pewno nam się uda! A co zobaczymy i usłyszymy - opiszemy...



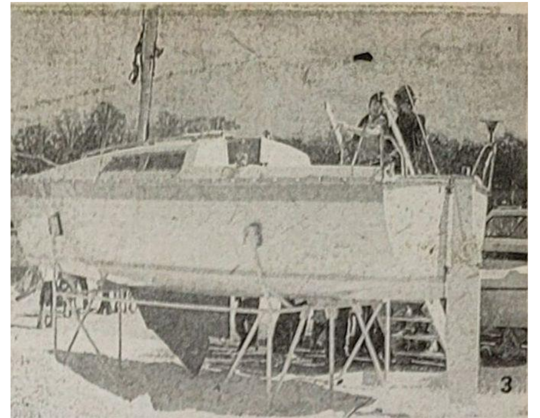
W mieszkaniu-Muzeum Marii Dąbrowskiej przy ulicy Polnej

Fot. **M. Szymański**









Co się Kubie podobało...

Spostrzegłem go przed wejściem na Wystawę Dorobku Ziem Zachodnich i Północnych we Wrocławiu. Pilnie studiował wielki plan sytuacyjny i jakby na kogoś czekał. - Jak masz na imię? - spytałem znienacka. - Kuba... - odpowiedział od razu, choć z pewnym zdziwieniem. Za chwilę dowiedział się kim jestem, a o sobie poinformował, że chodzi do jednej z wrocławskich szkół i ma trzynaście lat. Zawarliśmy z Kubą następującą umowę. On - wrocławianin - oprowadzi mnie po wystawie i pokażc to, co jemu właśnie najbardziej się podoba, a ja sfotografuję to i opiszę dla Czytelników „Świata Młodych". - To się nawet dobrze składa - dodał Kuba - bo mój umówiony kumpel nawalił...

Ruszyliśmy w gęstwinę eksponatów... -

1. „Jelcz" - to potęga! - zawołał Kuba,- kiedy wznieśliśmy się podnośnikiem na wysokość osiemnastu metrów, by sfotografować z góry całe „potomstwo" .Jelczańskich Zakładów Samochodowych: autobusy, samochody ciężarowe o różnym tonażu, wozy pożarnicze, ciągniki siodłowe, samochody warsztatowe... - Za ten ciągnik siodłowy „Jelcz" dostał w zeszłym roku zloty medal na Międzynarodowych Targach Poznańskich. A swoje pojazdy zakłady wysyłały już do siedemnastu krajów, w tym do Francji, Chin, Włoch... - Skąd to wiesz? - spytałem. - W „Jelczu" pracuje mój dziadek i mnie też tam bardzo ciągnie - odpowiedział Kuba.

2. W dziale spółdzielczości rzemieślniczej oprócz m.in. mebli i mnóstwa ciekawych urządzeń użytku domowego, uwagę przyciągały wielkie kolorowe lalki. Kuby to nie zainteresowało, ale jego rówieśniczki... Popatrzcie!

3. - Takim jachtem chcialbym kiedyś pożeglować na Morze Śródziemne! - skomentował krótko Kuba jacht „Opty 84" z Morskiej .Stoczni Jachtowej im. Leonida Teligi w Szczecinie. Obok stały jnniejsze jednostki do uprawiania żeglarstwa śródlądowego. Jeśli od ruch zacznie Kuba, to wierzę w realność jego marzeń.

4. - To rozumiem! To jest wystawa! - powiedział Kuba. - Można wejść na samochód strażacki, wszystkiego dotknąć, pokręcić... - A ty nie spróbujesz? - spytałem. - Ja to znam na pamięć dzięki dziadkowi! - przypomniał mi Kuba.

5. Nie było mowy - tu zatrzymywał się każdy: modele helikopterów, samolotów komunikacyjnych, specjalistycznych, ćwiczebnych. A wszystko to oznaczało jedno: - Bez części i podzespołów produkowanych w fabrykach na naszych ziemiach żadna z tych maszyn nie uniosłaby się w powietrze - jak powiedział z uzasadnioną przechwałką Kuba.

Z Kubą podziwialiśmy jeszcze przytulny mieszkalny kontener, byliśmy w prawdziwej obudowie chodnika kopalnianego, w którym pracowały autentyczne górnicze urządzenia, oglądaliśmy działanie mikrokomputerów ELWRO, śledziliśmy ruchomy model koparki KWK 1400 o wydajności 3500 m^3 na godzinę i... setki, tysiące innych przemysłowych wyrobów, produkowanych w zachodnich i północnych województwach kraju. Ale wszystkiego nie sposób zamieścić w „Świecie Młodych"...

Kiedy podziękowałem już Kubie za pomoc, powiedział na pożegnanie: - zapraszam na następną wystawę, na wystawę kwiatów!

Tekst i zdjęcia: JAN STYKOWSKI



TALENT Z SZABLĄ W RĘKU

Janos Kevey - Węgier z pochodzenia, Polak z serca, twórca polskiej szkoły szabli rzadko się myli. Przed dwoma laty podczas mistrzostw świata juniorów w Budapeszcie ten legendarny trener i wychowawca powiedział o Januszu Olechu, że będzie kiedyś mistrzem świata. Chłopak miał zaledwie 18 lat i mleko pod nosem, ale na planszy walczył popisowo, jak doświadczony wyga. Zdobył wówczas srebrny medal, ulegając w finale reprezentantowi Italii - Marco Martinowi. Janos Kevey nie Włochowi jednak, a Polakowi przepowiadał wielką karierę. Najbliższa przyszłość miała wykazać, że miał chyba rację...

POPIS W ARNHEM

Rok później Janusz Olech jechał do Leningradu w roli jednego z faworytów kolejnego championatu juniorów. Z drugiej jednak strony w tej kategorii wieku pewniaków nie ma, a rotacja w światowej czołówce jest olbrzymia. Janusz poczynił jednak dalsze postępy, nabrał rutyny i już przed odlotem odgrażał się, że do budapeszteńskiego „srebra" dorzuci „złoto". Był bardzo bliski szczęścia. W efektownym stylu pokonywał kolejne przeszkody i wreszcie stanął do decydującego pojedynku z reprezentantem gospodarzy, Michałem Kariełowem. Rywal miał za sobą gorący doping, miał też swój dzień. Olech przegrał 8:10 i chociaż został wicemistrzem świata, omal się nie popłakał ze zgryzoty.

Do trzech razy sztuka - powtarzał, gdy 7 kwietnia br. w Centrum Sportowym „Papendal" w Arnhem (Holandia) rozpoczynał kolejną walkę o tytuł mistrza świata juniorów. Nie obawiał się rywali, bardziej sędziów, którzy kilkakrotnie skrzywdzili naszego szermierza - akcje wykonywane są błyskawicznie, trudno czasem wskazać, kto pierwszy zadał trafienie. Janusz jest impulsywny, nie zawsze wytrzymywał nerwowo a arbitrzy nie lubią tych, którzy kwestionują publicznie ich orzeczenia.

Tytułu bronił Kariełow, ale większość fachowców stawiała na Polaka. Po serii efektownych sukcesów w imprezach międzynarodowych zdobył on bowiem w minionym sezonie Puchar Świata, dystansując rywala z ZSRR. Miał więc nad nim przewagę psychiczną i potrafił ją wykorzystać.



Spotkali się - podobnie jak rok wcześniej w Leningradzie - w finałowej walce. Początkowo prowadził przeciwnik, ale dynamiczne akcje Olecha przyniosły mu powodzenie. Kariełow był bezradny. Polak dorzucił do swej kolekcji brakujący diament, a Krzysztof Grzegorek, trener Janusza („Marymont" Warszawa) cieszył się jak dziecko. Niegdyś sam wojował na szable, teraz uczeń przerósł nauczyciela. Niebawem czeka go trudniejsza próba. Latem w słonecznej Barcelonie stanie do walki w turnieju o tytuł mistrza świata seniorów, gdzie będą wszyscy najlepsi. Czy spełni nadzieje Janosa Keveya...?

MIAŁ BYĆ NAPASTNIKIEM

Janusz chciał być piłkarzem. Kto wie, czy nie grałby już w ataku „Legii? czy II-ligowej „Polonii", bowiem ten wysportowany, ambitny chłopak miał smykałkę do futbolu. Ba, grał w drużynie, która zajęła pierwsze miejsce w turnieju „O Złotą Piłkę" i wtedy właśnie, jako kapitan zespołu udzielił pierwszego wywiadu dla prasy. Na salę szermierczą trafił przypadkowo. Zawsze chciał być najlepszy i kiedy jeden z jego konkurentów z boiska pochwalił się, że trenuje walkę na szable, Janusz chciał mu dowieść, że niebawem pokona go także na planszy. Co postanowił, to uczynił. Krzysztof Grzegorek i drugi trener „Marymontu" Andrzej Kościelniakowski szybko dostrzegli w tym żywym chłopaku cechy szermierza.

Janusz miał niedaleko do starego drewnianego baraku na Potockiej, gdzie trwały szermiercze ćwiczenia. Tylko płot dzielił pawilon od jego szkoły. Mimo to kilka razy miał ochotę rzucić szablę i wrócić na boisko, strzelać bramki, jak Lato, Deyna, Boniek. W końcu dał się przekonać trenerom, że jego miejsce jest na planszy, a fechtowanie szablą to także wspaniały sport, piękna przygoda.

Postępy czynił błyskawicznie, w mig przyswajał sobie niełatwe niuanse techniczne i w końcu był najlepszy w grupie. Dopiął swego, ale na tym nie poprzestał. Młodziutki szablista począł odnosić pierwsze sukcesy ńa krajowej, a potem międzynarodowej arenie, by wreszcie sięgnąć po tytuł wicemistrza oświata juniorów w Budapeszcie. Z dumą pokazywał kolegom z Liceum Ogólnokształcącego im. Norwida ten srebrny medal, chociaż już wcześniej miał się czym pochwalić. Był mistrzem Polski, dwukrotnym triumfatorem Spartakiady Młodzieży.

Janusz jest wyjątkowo zdolny i nie musi trenować tak długo i intensywnie jak inni. Ma trochę-wolnego czasu i chętnie wpada do dyskoteki. Muzyka jest bowiem jego drugą miłością. Kolekcjonuje płyty i kasety, ma w domu najnowocześniejszy sprzęt stereo. Skompletował go z nagród za sukcesy w zagranicznych turniejach. Najlepiej odpoczywa wówczas,, gdy sześćdziesięciowatowe kolumny wydają głośny dźwięk, tak głośny, że czasem porcelanowy puchar spadnie z półki i rozsypie się w drobny mak. Rodzice i sąsiedzi są jednak tolerancyjni. Ten chłopak da się lubić, a poza tym rzadko bywa w domu...

TOMASZ TRZCIŃSKI
Fot. **CAF**

AŁŁA NA EKRANIE

GWIAZDOZBIÓR

Ałła Pugaczowa - fascynujący głos, burza ognistych jak prezentowany na estradzie temperament - włosów, uroczy uśmiech - trudno nie zapamiętać tej świetnej artystki, choćby się ją zobaczyło tylko raz... Mówią o niej, że śpiewaniem potrafi oddać nawet najsubtelniejsze uczucia. Słynie bowiem nie tylko z głosu, ale i z talentu dramatycznego i rzeczywiście potrafi władać audytorium. Wkrótce wreszcie zobaczymy ją na filmowym ekranie. Dobiegają już końca prace nad artystyczno-dokumentalnym filmem, którego tytuł stanowi po prostu jej imię. Znajdzie się w nim aż 15 nowych pieśni w wykonaniu Ałły. Ale nie to jest najistotniejsze. O bohaterce filmu mówi Rajmond Pauls - kompozytor:

„ Ałła to niezwykła osobowość. W każdą piosenkę wkłada tyle swojego »ja« ile tylko się zmieści. Film o niej jest swoistą próbą głębokiego i maksymalnie wszechstronnego pokazania artystki, co nie może się udać w trakcie okolicznościowych jedynie zapisów na taśmie filmowej jej występów. Film będzie oczywiście przepełniony muzyką, barwny, a każda nowa piosenka przedstawiona jest w nim jako mini spektakl estradowy”. I Ałła okazała się mistrzynią w przeistaczaniu się. Raz jest romantyczno-liryczna, raz jak dynamit...

Autorem scenariusza filmu „Ałła”, jest poeta Ilia Rieznik. Dla niego najważniesze jest to, o czym śpiewa Ałła. Starał się, by scenariusz harmonizował z tekstami piosenek i z niezwykłą osobowością artystki. Dlatego wplótł w filmową tkankę prócz piosenek jej monologi, które Ałła wypowiada wprost do widzów. Ałła, która udowodniła, że jest nie tylko piosenkarką, ale i utalentowaną aktorką - pokazana jest w pracy, w świetle reflektorów i poza kulisami, w kontaktach z ludźmi. Jest taka jaka, jest - to znaczy - nietuzinkowa, szczodrze utalentowana, zaskakująca i przykuwająca uwagę.

Reżyser filmu - Naum Ardasznikow dodaje: - *„Film „Ałła” to właściwie kronika jednego dnia jej życia. Akcji w potocznym sensie w tym filmie nie ma, ale mamy nadzieję, że nie traci on przez to swej celności. Ukazuje artystkę-człowieka, który fascynuje widzów niezależnie od ich upodobań”*

Te pełne entuzjazmu słowa pod adresem Pugaczowej padały w sali „Olimpijskiej” w moskiewskim studio Wytwórni Filmowej im. Gorkiego. Nakręcono właśnie sceny, o programie wyreżyserowanym przez samą Ałłę Pugaczową pt. „Przyszła i mówi”. Jak wżyciu - Ałła nie tylko śpiewała, ale dbała o szczegóły aranżacyjne, oświetlenie, jakość dźwięku... A na koniec zaśpiewała „Tylko w kinie” - piosenkę-wyznanie o swojej sympatii do sztuki dziesiątej muzy. Zanim zobaczymy film - przyjrzyjmy się Alle romantycznej, dramatycznej, zaaferowanej i przejętej na zdjęciach z planu.

(eb)

Fot. **archiwum**

„PIDŻAMKI”

Co to jest — luźne, obwisłe nieco spodnie z kretonu w paseczki (kratkę lub jakieś ciapki), a do tego wdzianko z tego samego materiału z rękawkami krótkimi albo całkiem bez? Też pytanie, ktoś powie, wiadomo co to jest - pidżama, a właśnie, że... nie! To nie pidżama, ale jeden z najmodniejszych wakacyjnych" ciuchów. Ciuchów skądinąd do pidżamy bardzo podobnych, zgadza się, ale - co z tego? Rzecz ma sporo wdzięku i przydatna też być może.

Zwłaszcza spodnie, które są bardzo cienkie, a więc można je nosić w naturalnej długości (ciut powyżej kostek), albo podwinięte, i to całkiem sporo nawet, tak że zamiast długich spodni są szorty. A długość naturalna nie ma oczywiście zbyt wiele wspólnego z normalnymi spodniami długimi, bo kreton od chłodu nie chroni, ale od słońca ochrania bardzo skutecznie. Takie pidżamopodobne spodnie mogą więc okazać się niezastąpione gdy człowiek przesadzi z opalaniem i na drugi dzień chciałby dać poparzonej skórze trochę odpocząć.

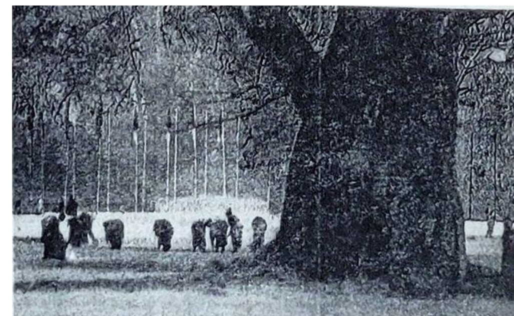
Jeśli więc ktoś do całego pidżamkowego kompleciku serca nie ma, to przynajmniej na same spodnie namawiam. Ciuch to mocno zabawny, a jego zamierzona bezkształtność pozwala ha szycie własnoręczne, bo nic sknocić się tu nie da. U góry te spodnie - jak na tradycyjną pidżamę przystało - mają wciągniętą zwyczajną gumkę, z tym, że szyk polega na tym, aby gumka wciągnięta była kilka centymetrów poniżej brzegu, aby powyżej talii tworzyło się coś w rodzaju falbanki. Modnie jest przewiązać te spodnie w talii (niezależnie od gumki, która jest głównym elementem trzymającym) jakimś paskiem, z innego materiału czy plastiku. Można do nich także nosić gumowe szelki, które w ogóle są dość eksponowanym w żurnalach dodatkiem na tegoroczne wakacje.

Jak kto nie ma na takie spodnie odpowiedniego surowca, albo szyć mu się nie chce, można zrobić przegląd domowych pidżam. Może któraś (mam na myśli pidżamy męskie, taty albo starszego brata) po jakichś drobnych przeróbkach się nada, a właściciel będzie na tyle wielkoduszny, że ją podaruje. W wypadku takich adaptacji — uwaga: wzór materiału ma być wprawdzie klasycznie pidżamowy (zwłaszcza paseczki), ale przy tym **wakacyjnie wesoły**, np. kolorystyka beżowopopielata, to nie byłoby całkiem to. Ma być biel i jakiś drugi kolor bardziej zdecydowany, konkretny.

RIUSZKA

DOM MODY świata młodych

Z czterech stron świata



Pod baobabem

(*„Poznaj Świat'*) Zdjęcie przedstawia wieśniaczki z prowincji Casamance na południu Senegalu w czasie sprzątania placu wioskowego pod baobabem - ale zamieszczamy je przede wszystkim z uwagi na sugestywne ujęcie samego pnia. Baobab jest drzewem osobliwym m.in. dlatego, że u starych egzemplarzy obwód pnia może być... dwa razy większy niż wysokość całego drzewa! Największe pnie baobabu dochodzą do 46 m obwodu, co jest - rzecz jasna - rekordem w świecie drzew. Baobaby żyją bardzo długo, ale co do wieku najstarszych drzew trwają dyskusje. Rzecz w tym, że nie da się go stwierdzić, ani licząc słoje, ani metodą radiowęglową, gdyż najstarsze baobaby pozbawione są już środkowych partii pnia. Metodami pośrednimi ocenia się, że najstarsze egzemplarze liczą 4,5-5 tys. lat.

Fot. **archiwum**

Zespół Szkół Zawodowych Nr 3 MGiE w Bytomiu, ul. B. Bieruta 120, tel. 81-24-25

OGŁASZA ZAPISY

dla absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 1985/86 do Zasadniczej Szkoły Górniczej o specjalnościach:
- górnik kopalni węgla kamiennego.
- mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego,
- elektromonter górnictwa podziemnego.

Warunki przyjęcia:
1) ukończone 15 lat, a nie przekroczony 18 rok życia;
2) ukończenie szkoły podstawowej;
3) złożenie podania, umowy zawartej z kopalnią oraz świadectwa szkolnego po zakończeniu roku szkolnego;
4) dobry stan zdrowia, orzeczony przez lekarza szkolnego.

Prowadzimy również dwuletnią Szkołę Przysposabiającą do Zawodu o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego. Warunkiem przyjęcia jest ukończony 16 rok życia, a nie przekroczony 18 rok oraz ukończona co najmniej VI klasa szkoły podstawowej.

Kopalnia prowadząca Zasadniczą Szkołę Górniczą i Szkołę Przysposabiającą do Zawodu zapewnia:
1. Pomoc materialną
2. Codzienny bezpłatny posiłek regeneracyjny (drugie śniadanie) dla wszystkich uczniów.
3. Bezpłatne umundurowanie: młodzieżowe Ubranie, kurtkę ortalionową, koszule, spodnie, krawat, beret, półbuty.
4. Bezpłatne wyposażenie w komplet podręczników, zeszytów i przyborów szkolnych.
5. Uczniom zamiejscowym bezpłatne zakwaterowanie w internacie.
6. Wczasy śródroczne.

Absolwentom Zasadniczej Szkoły Górniczej zapewniamy naukę w 3-letnim Technikum Górniczym dla Pracujących, które istnieje w tutejszej szkole.

K-116

Sto słów o jednym znaczku





Dziecko z wyciągniętymi rączkami na tle płomieni to przejmujący widok — wymowa reprodukowanego znaczka jest jednoznaczna, nawet hasło „Pożar, ratuj!" jest zbędne.

Poczta polska wielokrotnie włączała się do akcji przeciwpożarowych wydając okolicznościowe znaczki, koperty i kartki pocztowe oraz stemplując korespondencję okolicznościowymi datownikami. Pierwszy okolicznościowy datownik o tematyce pożarniczej stosowano już w 1945 roku w Katowicach, z okazji Tygodnia Strażackiego. Na kilku kartkach pocztowych nadrukowano takie hasła jak: „Dziecko pozostawione bez opieki często jest sprawcą pożaru", „Las to bogactwo i ozdoba kraju - strzeż lasu przed pożarem", „Ostrożność w zapobieganiu pożarom nigdy, nie, jest przesadą", „Wszyscy walczymy z klęską pożarów". Ukazało się również kilka ilustrowanych kartek pocztowych, na których przedstawiono m. in. piękne stare hełmy strażackie.

Najnowszym wydawnictwem poczty polskiej o tej tematyce jest seria „Pojazdy pożarnicze" (wprowadzona do obiegu 25 lutego br.) — na znaczkach przedstawiono pochodzące z XVIII i XIX wieku sikawki ręczne oraz sikawkę parową, samochód „Polski Fiat" z okresu międzywojennego ze zbiornikiem na wodę oraz pompę, a także dwie współczesne konstrukcje pojazdów pożarniczych, oparte na podwoziu „Jelcza".

JANUSZ PASTEWNY

MISJA MIĘDZYPLANETARNA?

Nie tak dawno wystartował do lotu kolejny wahadłowiec. I choć nadal są to wyprawy testowe, to przez te trzy lata użytkowania wahadłowców przez NASA poznaliśmy dobrze ich budowę, parametry techniczne... Ale właśnie dlatego, że orbitery wciąż są testowane, niewiele mówi się na temat przyszłego ich wykorzystania. Spróbujmy więc zastanowić się do czego można je „zaprząc".

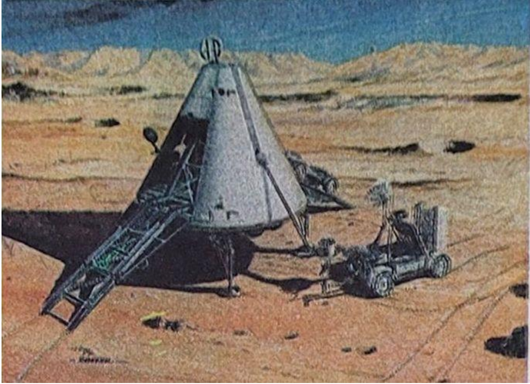
Podobnie jak radzieckie „Progressy", orbitery można wykorzystać do wyniesienia na orbitę okołoziemską różnych ładunków. Istnieją cztery takie projekty, każdy dotyczący odrębnego ładunku :

A - najbardziej znanym projektem wykorzystania wahadłowców jest wyniesienie w przestrzeń kosmiczną laboratorium „Spacelab" zbudowanego pod auspicjami Europejskiej Agencji Kosmicznej. Laboratorium przez cały czas lotu na trwałe osadzone byłoby w otwartej ładowni wahadłowca. Czas lotu 7-30 dni, załoga międzynarodowa.

B - przetransportowanie na orbitę teleskopu kosmicznego. Od misji ze „Spacelabem" różni się ten plan rozmachem: teleskop pozostaje przez 10-15 lat na orbicie, koordynowany przez ośrodki na Ziemi i tylko od czasu do czasu odwiedzany przez naukowców dla zabrania naświetlonych klisz oraz wykonania drobnych napraw.

C - umieszczenie na bliskiej orbicie specjalnego modułu rakietowego, mającego za zadanie przemieszczać satelity na wyższe, a więc bezpieczne orbity.

D - na rozie bliżej niesprecyzowane plany budowy na geostacjonarnej orbicie stacji kosmicznej, przy czym flotylla wahadłowców transportowałaby potrzebne do jej budowy materiały oraz elementy konstrukcji.



Wyraźnie więc widzimy, że projekt użycia wahadłowców w roli „kosmicznych ciężarówek" ma przed sobą wielką przyszłość. Rozwiąże on wiele problemów komunikacyjnych, zapewni dogodne warunki do lepszego zagospodarowania bliskiej przestrzeni... ale chyba nie on będzie ukoronowaniem możliwości orbiterów.

Od niedawna w NASA przebąkuję się o wykorzystaniu czteropojazdowej sztafety do lotu na Marsa! Czy do niego dojdzie, trudno powiedzieć, ale jest to koncepcja tak frapująca, że warto ją bliżej przedstawić.

Jak wiemy, techniczna wyprawa na Marsa jest możliwa już dziś. Trudności rodzi jedynie zabranie góry ładunku na pojazd wyprawowy — a co za tym idzie, potrzeba zaopatrzenia się w olbrzymie ilości paliwa. Plan „Relay race in space" pozwala uniknąć tych niedogodności, bowiem na trasie lotu załogowego statku czekałyby składy z zaopatrzeniem. Całą wyprawę można by podzielić na kilka etapów:

I - z Ziemi startuje bezzałogowy wahadłowiec oznaczony cyfrą „1". Lecąc z szybkością kilku km/sek. oddala się od Ziemi. Gdy osiąga punkt w połowie odległości obu planet...

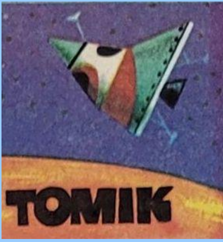
II - ... dogania go załogowy orbiter „2". W przestrzeni następuje przeładowanie zapasów z wahadłowca nr „1" na „2", po czym załogowy Space Shuttle już bez przystanków leci na Marsa...

III -... i na jego orbicie napotyka wahadłowiec nr „3" wysłany na samym początku i zawierający lądownik planetarny. Część załogi przesiada się do lądownika i opuszcza się na planetę. Potem — już po zakończeniu badań - wraca na wahadłowiec i razem z resztą załogi czeka na odpowiednią chwilę, by opuścić orbitę wokółmarsjańską... Odlatuje w kierunku Ziemi...

IV - ... i w połowie drogi spotyka kolejny wahadłowiec - magazyn. Dzięki zawartym w jego ładowni materiałom dolatuje do Ziemi, gdzie na orbicie przechwytują go statki służby sanitarnej etc. ...

Tak wygląda plan wyprawy na Marsa. Przez analogię można by porównać tę wyprawę z ekspedycją na Biegun Południowy Roalda Amundsena, który również zdobył go pomagając sobie zakładanymi na trasie magazynami żywności. Do takiej wyprawy potrzebne byłyby cztery orbitery, więc nie tak dużo. Również resztę warunków potrzebnych do sukcesu jesteśmy w chwili obecnej zdolni spełnić. Czy dojdzie do tego? Oby, gdyż jeśli naukowcy zdecydują się zrealizować właśnie ten plan, należy się spodziewać podróży na Marsa już na przełomie wieków.

Romuald Pawlak



Z przykrością muszę napisać, że jeden z korespondentów TOMIKA, kol. Leszek Lewandowski dopuścił się nieuczciwości podpisując się pod nie swoimi pracami. Otóż w 49 numerze „ŚM" znalazł slą niemal dosłowny tekst pana mgr. Andrzeja Pilskiego przepisany z „Dziennika Bałtyckiego".

To samo stało się w numerze 46 „ŚM". Korespondencja pt. „Cel kometa" jest autorstwa Jerzego Wierzbowskiego. Obydwu autorów przepraszam za wyrządzoną przykrość, a kol. Lewandowskiego zawiadamiam, że TOMIK więcej jego korespondencji nie będzie zamieszczał. Przy okazji przypominam wszystkim korespondentom, że nie wolno przywłaszczać sobie cudzej pracy. Owszem, można przytaczać fragmenty z jakiegoś artykułu, ale trzeba wówczas podać autora tekstu oraz źródło skąd został zaczerpnięty. Szczegółowe przepisy regulujące te sprawy znajdują się w prawie prasowym. Mam nadzieję, że po tym nieprzyjemnym zgrzycie, więcej z taką sytuacją TOMIK nie będzie miał do czynienia.

PREZES

KOSMICZNE ZAGROŻENIA

Generalnie nie 'można tego stwierdzić, a jednak start promu kosmicznego „Columbia" zapoczątkował nowy jakościowo wyścig zbrojeń. Godzi on bezpośrednio w całą ludzkość. W Pentagonie pracuje się nad nowymi rodzajami broni, które w przyszłości mają być użyte z kosmosu. „Columbii" obok zadań pokojowych wyznaczono zadania o charakterze czysto militarnym. Obok wynoszenia w przestrzeń satelitów wojskowych wahadłowce przechwytywać mają satelity przeciwnika.

Na orbicie okołoziemskiej rozmieszczone mają być aparaty niszczące rakiety innych państw; jednak nie stwarza to takiego zagrożenia jak inne plany o wręcz apokaliptycznym charakterze. Chodzi tu między innymi o broń laserową, o której niektórzy generałowie wyrażają się z wielkim entuzjazmem. Planuje się budowę na orbicie ogromnych luster, na które mają być kierowane wiązki laserowe. Odbite od nich promienie uderzyłyby w dowolnie wybrane obiekty na całej kuli ziemskiej. USA od dawna przeprowadzały próby z bronią laserową, wiąże się to z programem budowy idealnego systemu antyrakietowego, uniemożliwiającego atak odwetowy któregoś z państw w wypadku gdyby USA spowodowały konflikt nuklearny.

Tymczasem w amerykańskich instytutach powstają projekty nowych kosmicznych broni. Są to m. in. urządzenia wysyłające w przestrzeń strumienie elektrycznych cząsteczek atomowych. Koszty produkcji tych urządzeń mają być niewielkie, a siła rażenia potworna. Nieustannie prowadzi się też badania nad innymi bojowymi środkami przyszłości np. laserami powodującymi powstawanie tzw. sztucznych nocy. Prowadzi się również badania nad bronią skutecznie niszczącą globalnie rakiety nuklearne. Gdyby zbrojenia kosmiczne trwały nadal, w niedalekiej przyszłości możemy się stać świadkami „gwiezdnych wojen", aczkolwiek nie tak widowiskowych jak film Georga Lucasa.

Roman J. Czerwiński
32-300 Olkusz
ul. Skalska 9 m. 6

Kącik korespondentów

Leszek Gruchalski, ul. Prosta 16/13/ 07-200 Wyszków - sprzeda bibliotecżkę astronomiczną z pozycjami z zakresu astronomii, astronautyki, kosmologii, astrofizyki, UFO, CETI, dawnych cywilizacji, radioastronomii itp. Poza tym kolega Leszka odstąpi kilka zestawów okularów i obiektywów do budowy amatorskich teleskopów soczewkowych, dużą ilość pryzmatów prostokątnych, mapy i atlasy nieba. Bliższe szczegóły do omówienia w korespondencji.

Leszek Lewandowski, ul. Olsztyńska 81/12, 80-395 Gdańsk-Przymorze - pilnie sprzeda następujące egzemplarze miesięcznika „Urania": 1/1954; 10, 11, 12/1963; 1, 2, 3/1964; rocznik 1971; rocznik 1972; rocznik 1973; 1, 2, 7, 8, 10, 11, 12/19 74; rocznik 1975; 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 12/1976; rocznik 1977; rocznik 1978; rocznik 1981; 1, 2, 3/1982 oraz broszurki: "Czego nie wiemy o Wszechświecie" Tomasza Kwasta; „Instrukcja dla obserwatorów gwiazd zmiennych" Andrzeja Lisickiego,,,Prom kosmiczny"- kolorowy plakat.

Janusz Mączewski, ul. Roosevelta 14/2, 11-700 Mrągowo - sprzeda książki z zakresu astronomii. Janusz nie podaje ich tytułów, ale pisze, że ma ich dość dużo.

Uwaga, pisząc do kącika korespondentów TOMIKA podaj dokładny swój adres, wiek oraz krótko sformułowane zainteresowania. Za transakcje handlowe i zamienne czytelników redakcja nie bierze odpowiedzialności.

Trafiłem akurat na kolację. Jakaś kobieta podawała do stołu, przy którym siedziało kilku młodych mężczyzn i dwie starsze panie. Przedstawiłem się, zrobiono mi miejsce, prosiłem przede wszystkim o porozumienie się z kutrem. Radiostacja była w przyległym budynku, połączenie uzyskałem szybko, wiadomości otrzymałem kiepskie. Kuter dostrzegł podejrzany stateczek i podążył za nim. Obiecywano mi, że wrócą po mnie za trzy dni, nie później.

Bezradnie spojrzałem na profesora. Położył mi rękę na ramieniu i powiedział, żebym czuł się jak gość jego stacji.

Kolacja minęła szybko. Pokazano mi pokój, który dla mnie przygotowano, malutki jak kajuta, gotów byłem położyć się spać, ale profesor spytał, czy nie jestem ciekawy, co oni tu robią. Z wysiłkiem zamrugałem klejącymi się oczyma i powiedziałem, że oczywiście, chętnie zobaczę.

Po chwili byliśmy w drodze do owych ogromnych obiektów. Wyglądały jak sterówce ułożone na ziemi, jak wieloryby, ale wieloryby monstrualne, jak przedpotopowe cielska. Niektóre z nich przytykały do skały i wydawało się, że wgryzły się w nią głęboko.

Zanim weszliśmy do jednej z tych konstrukcji, zatrzymaliśmy się na chwilę. Zagrzmiał gejzer i wystrzeliła woda. Poczekaliśmy, póki nie opadnie i przez niewielką śluzę, zrzuciwszy ciepłe okrycia, weszliśmy do środka.

Zatrzymałem się. Jak uderzony. Miałem przed sobą gaj pomarańczowy, równe rządki drzewek biegły w głąb pomieszczenia i na boki, nad nimi świeciły ostre lampy i na drzewach były już owoce, dojrzałe, złociste, a powietrze przypominało mi to powietrze, którym oddychałem w Kalifornii, powietrze, które wchłania się całym ciałem.

Usłyszałem cichy chichot profesora.

- Ładne, prawda?

Byłem zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć. Próbowałem ochłonąć. Spróbować obliczyć wielkość tej hali, tego balonu, wyszło mi, że musi mieć ponad hektar, i to wydało mi się niesamowite.

Szukałem śladu konstrukcji podtrzymujących dach, ale nie było ich, dach po prostu wisiał nad nami i poczułem strach, że w każdej chwili może nas zmiażdżyć.

- Pneumatyka, wie pan - rzeki profesor i znów zachichotał. Trochę mnie drażnił. Był nazbyt profesorski i za często chichotał: - Tu ciśnienie powietrza jest wyższe niż na zewnątrz. Dlatego mamy śluzy.

- A energia, ciepło?

- Gejzery - zachichotał znów. - Po prostu gejzery. I ciepło ziemi.

Ruszyłem wzdłuż szpalerów drzewek. Było cicho i bezludnie. Profesor szedł za mną i rzucał jakieś liczby. O powierzchni wszystkich pawilonów, o plonach, o warzywach, które tu uprawiają, o drzewach, o samowystarczalności wyspy. Nie słuchałem. I nagle zza drzew wyszła dziewczyna. Była piękna.

(- Och, przestań - powiedziałam - Dosyć tego.

- Niech mówi - szepnął Jaś. - Niech pan mówi - dodał głośniej).

Już nie słyszałem profesora. Ruszyłem ku niej, a ona powoli zbliżała się, zamyślona, nie dostrzegając nas. Podbiegłem. Stanąłem tuż przed nią.

- To pani? Wreszcze się spotkaliśmy.

Uniosła głowę. To nie była ona, ale dostrzegłem uderzające podobieństwo. Owal twarzy, usta, włosy, tak, to była ona, niemal ona, ona.

(Ojciec zamilkł i powoli przesunął plecy, ocierając je o pień dębu. Jeszcze go widziałam, ledwie, ledwie, raczej zgadywałam jego zdecydowany profil. Westchnął cicho.)

Ona. Nie ona.

Cofnąłem się nieco.

- Przepraszam - podwiedziałem. - Podobieństwo tak zdumiewające.

Nie szkodzi. Przypominam panu kogoś? Bliskiego?

Uśmiechnęła się.

Zbliżyłem się i wpatrywałem w jej twarz.

- Bliskiego? Nie wiem. Kogoś tak. Bliskiego?

Roześmiała się, a z tyłu zabrzmiał chichot profesora.

- Pasuje tutaj, prawda? Do tych drzew pomarańczowych? To moja asystentka, Maria.

- Maria -powtórzyłem.

- Czy imię też mam to samo? - spytała przekornie.

- Nie. Ale podobne, trochę inne.

Profesor przynaglił mnie. Pragnął pokazać wszystko, trawiła go jakby gorączka, gorączka dumy, którą musiał jakoś uleczyć, i pokazywać, pokazywać, rzadko miewał gości. Maria towarzyszyła nam, kiedyśmy szli od jednej plantacji do drugiej, kiedy przemierzaliśmy niskie korytarze, rękawy, łączące poszczególne balony, kiedy wgłębialiśmy się w jaskinie, również wykorzystane jako miejsca upraw.

Cdn.

8 ODCINEK

TYTUS, Romek i A'TOMEK

KOLOROWAŁA MARIKA ROSOCHACKA

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

PO TYGODNIU ...

CHCIELIŚMY DOWIEDZIEĆ SIĘ, JAKIE POSTĘPY CZYNI NASZ PODOPIECZNY.

JABŁKA MALUJE NA NIEBIESKO, KONIA NA ŻÓŁTO, A WODĘ Z KRANU NA BRĄZOWO... ON NIE ROZRÓŻNIA KOLORÓW. TRZEBA SPRAWDZIĆ JEGO WZROK.

CZYŻBY

TYTUS BYŁ JUŻ ARTYSTĄ, KTÓRY MA WŁASNĄ KONCEPCJĘ KOLORYSTYCZNEGO WIDZENIA PRZEDMIOTÓW?

LEPIEJ WCZEŚNIEJ ZBADAĆ WZROK KANDYDATA NA PLASTYKA, ZANIM WYDA SIĘ MILIONY NA JEGO WYKSZTAŁCENIE.

CENTRUM OFTALMICZNE

SŁUSZNIE.

PAN TYTUS de ZOO, PROSZONY NA KONSULTACYJNE BADANIE WZROKU.

NIE CZYTAJ PRZY JEDZENIU!

JAKIE PRZEDMIOTY WIDZISZ W DRUGIM RZĘDZIE OD DOŁU?

... ŚLIWKA, GRUSZKA, POMIDOR ... HE, HE ... BANAN! BANANA TO DOJRZĘ NA KILOMETR!

dawno... niedawno...

Co się wydarzyło 4 i 5 czerwca

4 VI 1940 r. - zmarł w Oświęcimiu Bronisław Czech, jeden z najwszechstronniejszych narciarzy świata, trzykrotny olimpijczyk, nieoficjalny mistrz świata w biegu zjazdowym w 1929 roku.

W okresie okupacji wstąpił do podziemnej organizacji „Biały Orzeł". Był kurierem, przeprowadzał ludzi na Węgry. 14 V 1940 r. został aresztowany za przyczyną przedwojennego trenera narciarskiego, Austriaka - Seppa Roehrla. Namawiany bezskutecznie do podpisania Volkslisty, osadzony został w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, gdzie otrzymał numer 349.

5 VI 1783 r. - bracia Montgolfier, Joseph-Michel i Jaques-Étienne, francuscy wynalazcy, członkowie Akademii Nauk w Paryżu - zademonstrowali, po raz pierwszy publicznie, lot balonu wypełnionego ogrzanym powietrzem. W kilka miesięcy później odbył się lot z człowiekiem na pokładzie.

Ponadto

5 VI 1872 r. — zmarł wybitny kompozytor Stanisław Moniuszko.

Cytat na dziś i na jutro:

Kropla drąży kamień nie siłą, lecz częstym spadaniem.

(Owidiusz)

UŚMIECH NUMERU

PAŃSTWO MĄDRALOWIE zaprosili gości na imieniny pani Mądralowej. Gospodarz domu wita serdecznie przybywających, ale solenizantki jakoś nie widać.

— Proszę wybaczyć — tłumaczy nieobecność żony pan Mądrala — moja małżonka kończy się właśnie przebierać, bo była cały dzień bardzo zajęta...

—To jasne — mówią goście - przygotowywała przyjęcie...

— Ach, to nawet nie to — przerywa gospodarz. — Po prostu robiła porządek w swojej torebce...

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 67/68 (3997/98)

Wychodzi wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

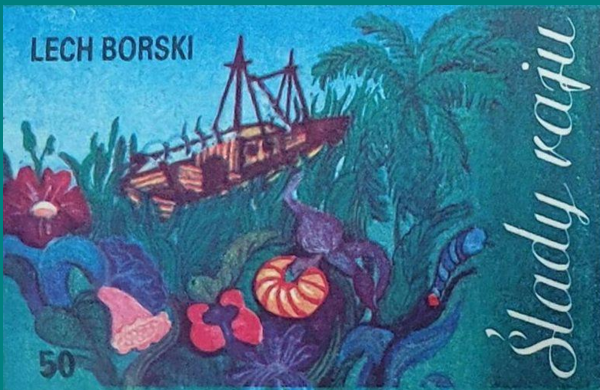
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa–Książka–Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne:
Inna Bójska
Opracowanie techniczne:
Barbara Zając
Korekta:
Bianka Abratowska-Lisowska

dsp Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1941/G. N-30
Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ 00-561 OTO NASZ POCZTOWY



awet nie było dużo śniegu w tej okolicy, leżał miejscami, w łatach, gdzie indziej znów było kamieniście i aż do podnóża góry, o pół kilometra, o kilometr, aż do początków stożka rozpościerała się pstrokata, biało-brązowa równina, pełna skalnych odłamków.

Szukałem foczych siedlisk. Znaliśmy oczywiście miejsce, które foki lubią. Znali je i kłusownicy. Ale od czasu do czasu foki rozmnażały się nadmiernie i jakaś ich część szukała nowych miejsc. Nie widziałem już mojego kutra, płynął gdzieś w pobliżu, powolnie, cicho i groźnie, z lufami karabinów maszynowych okrytymi brezentem, ale skierowanymi na brzeg. Czaił się, a ja szukałem foczych siedlisk na brzegu i ściskałem karabin, gdyż tam, gdzie foki i ich małe, mogli być ludzie, na których polowaliśmy. Posługiwali się grubymi pałami w swoim rzemiośle, nimi ubijali foki, ale mieli i broń, na ludzi.

Słońce stało nisko-. Cały czas stało nisko i przez cały czas nie zachodziło. Każdy skalny odłamek dawał długi, gęsty cień i w każdym z tych cieniów mógł czaić się wróg. Wartownik kłusowników. Byłem czujny.

Szedłem już długo i bolały mnie nogi, ubranie ciążyło, choć było to najlżejsze z ubrań, jakie się, nosi na dalekiej północy, ubiór eskimoski, ciepły, trwały; nieprzemakalny. Marzyłem o odpoczynku i filiżance kawy.

Wtedy w oddali zobaczyłem światełko. Jedno; potem drugie. To nie mogło być ognisko; W tym kraju nie znalazłoby się drzew na ogniska, a gdyby się znalazły, nikt nie zmarnowałby ich w płomieniach. Zwolniłem kroku i zacząłem prześlizgiwać się od głazu do głazu, od cienia do cienia. Powoli, coraz wolniej.

Wtem usłyszałem szum, jakby ryk i w oddali; w pobliżu światełek podniósł się w górę biały pióropusz, trwał chwilę, a potem zapadł się nagle. I ucichło. Rzuciłem się do podnóża następnej skałki, przywarowałem.

Ale nie było nic, cisza, tylko ledwie słyszalny bulgot, jakby z drugiej strony skałki. Postanowiłem sprawdzić, co to jest, i przeczołgiwałem się ostrożnie, a bulgot wzmagał się szybciej, niż ja się poruszałem. Nagle ziemię przeszył dreszcz, krótki spazm i bulgot ryknął, a tuż przede mną, o kilka metrów, z zagłębienia strzeliła gwałtowna struga wody i pomknęła w niebo, aż do mnie doszedł jej gorący powiew.

Wstałem i odetchnąłem, a potem patrząc na wspaniały wodotrysk zacząłem śmiać się sam z siebie. To był tylko gejzer, ciepły gejzer. 1 tamten pióropusz w oddali także.

Po chwili gejzer uspokoił się, woda opadła i pozostawiła po sobie malutkie źródełko, sadzaweczkę, która leciutko szemrała, bulgotała, a z jej głębi podnosiły się pęcherze i pękały na powierzchni. Wyglądało to jak woda w czajniku. No, ogromnym.

(— Gdzie to było? - spytał Jaś. Szarpnęłam go za ramię. — Nieważne — syknęłam).

Już spokojniej i szybciej poszedłem w kierunku światełek. Mnożyły się i niedługo rozpoznałem kilka budyneczków, maszt radiostacji, a z tyłu wielkie, podłużne kształty, ogromne.

Zarzuciłem broń na ramię. W tym miejscu nie mogło być ani fok, ani kłusowników. Miałem nadzieję, że ludzie, którzy tu mieszkają, pozwolą mi się za pomocą radia skomunikować z kutrem. No i przede wszystkim pozwolą mi odpocząć.

Powitał mnie wysoki mężczyzna, może sześćdziesięcioletni. Przedstawił się jako profesor Jensen i poprosił do swego domu.

Dokończenie na str. 7